

PISMO DLA RODZIN.

№ 7. Warszawa, dnia 6 (18) Lutego 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie	rs. 6 k. „	rocznie	rs. 8
półrocznie	„ 3 „ „	półrocznie	„ 4 k. „
kwartalnie	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy: w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12. w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

Kościół Ś-go Jędrzeja

W KRAKOWIE.

O jednej z najstarożytniejszych świątyń krakowskich o kościele S-go Jędrzeja, którego wizerunek podług rysunku artysty S. T. Baranowskiego, podajemy dziś czytelnikom i Opiekuna tak mówi w swoim historycznym opisie Krakowa i jego okolic, Ambroży Grabowski.

Piotr Duńczyk na Skrzynnie w wieku XII, fundował ten kościół, według twierdzenia *Długosza* pod r. 1143 (ks. V. p. 465); a przywilej klasztorny z r. 1320, który dał *Nauogius Comes de Morauicza Castellanus crac.*, fundatorem kościoła tego oznacza przodka tegoż Nawoja, Sieciecha, który go oddał opatowi sieciechowskiemu Benedyktynów, z obowiązkiem trzymania tam czterech prebendarzów. Lecz gdy ci kościoła tego w zamian kościoła Ś. Idziego odstąpili, na placu między murami miasta leżącym, który siostrom Klaryskom reguły Ś. Franciszka darował Gerassius *) mieszczanin krak. w r. 1318, wybudowano klasztor, i zakonnice te wprowadzono doń w r. 1320 z klasztoru P. Maryi na Skale (na Grodzisku), które to zgromadzenie dotąd tu utrzymuje się.

Starożytne gmachu tego mury naznaczyły się ważnemi w dziejach naszych zdarzeniami, a mianowicie r. 1225, gdy Konrad książe mazowiecki, stryj Bolesława Wstydl., dobijając się nad nim opieki, wojnę z Henrykiem brodatym (krewnym Bolesława w linii ojcowskiej) książęciem szlązkim prowadził i do Krakowa wtargnął. Wtedyto, oblegając zamek, kościół Ś. Jędrzeja na kształt forteczki umocnił i ludem swoim osadził, lecz go w krótce wojsko Henryka do poddania się zmusiło.

Zaś w r. 1241 Tatarzy po zwycięztwie nad wojskiem polskiem pod wsią Chmielnikiem, żadnej niedoznając przeszkody, podstąpili pod Kraków w dzień popielcowy. Za przykładem Bolesława Wstydl., który w zamku krak. nie czując się bezpiecznym, do teścia swego Beli Króla węgierskiego ujechał, mieszkańcy miasta w różne rozbiegli się strony; jedni w krajach ościennych, inni z rodzinami i dobytkiem na bagnach, w lasach i niedostępnych miejscach schronili się. Nieprzyjaciel znalazłszy miasto bezludne, na świątynie i domy wściekłość wywarł, i takowe na pastwę płomieni oddał. Sam tylko kościół Ś. Jędrzeja, wtedy jeszcze za murami miasta leżący, powszechnej uniknął pożogi. Zamknął się był w nim dostatek ludu ubogiego z całą swą chudobą: Tatarzy w mniemaniu, jakby tam wszystkie bogactwa miasta zgromadzone były, o zdobycie gmachu tego usilnie kusili się; oblężeńcy zaś dzielny dając odpór, zgładziwszy przytem wielu nieprzyjaciół, nakoniec do odstąpienia ich zmusili. (*Długosz VII p. 674*).

Szczygielski (*Tinecia pog. 147*) pisze: *Eccle-S. Andreae ante Cracoviam, haec dudum a proprietate et possessione Manasterii Tinecensis alienata est.* Kiedy to oderwanie nastąpiło nie wskazuje, tylko mówi, iż tam zamieszkuje około 60 siostr zakonnych reg. Ś. Franciszka.

Tak kościół jak i klasztor, w późniejszych czasach biskupi krak. Jerzy Radziwiłł i Bern. Maciejowski znacznie odnowili.

*) Władysław Łokietek w przywileju r. 1323 nazywa go *Gerassius notarius noster apud Cracoviam.*

CZY Z NATURY?..

Słyszę, dziesiąta bije, ha, zaspałam nieco,
Ależ bo i godziny straszliwie coś lecą!
Nic to jednak nie szkodzi —trochę długie spanie,
Będzie można nagrodzić, tylko zjem śniadanie.
Trzeba się wprzódy ubrać, wołam więc mej panny,
Żeby mi dała szlafrok i czepeczek ranny.
Panny nie ma. Z po za drzwi słyszę jakieś krzyki,
Chcę wybiegnąć lecz nie wiem gdzie moje buciki...
Hałas nic nie ustaje, ciągle trwa latanie,
Już zgniewana otwieram—Czy boże skaranie,
Czy ja was już cichości nigdy nie nauczę?
— Ale bo proszę pani nam zginęły klucze.
— Z naszemi ludźmi miła gospodyni rola!
Najdalej za godzinę pan powraca z pola,
Cóż więc będzie z obiadem? wkrótce jedenasta,
Mięso będzie surowe, nie wyrosną ciasta.
Poszlijcie po kowala i przynoście kawę,
Dotychczas jestem głodna przez tę waszę wrzawę.
Spieszę się nadzwyczajnie, prędko kawę piję,
Cóż z tego kiedy właśnie juz dwunasta bije.
Mąż wróci niezadługo, trzeba być ubraną,
Trudno mu się tłómaczyć że to jeszcze rano...
Słyszę turkot...wybiegam...Oleś już na ganku—
— A już to w samą porę przyjeżdżasz kochanku!
— Straszliwie jestem głodny, czy obiad gotowy?
Lecz co widzę, tyś jeszcze nie ubrała głowy!
A tylem razy prosił: spiesz się moja duszko,
Ty do południa wolisz bawić się poduszką—
Każże obiad podawać ..Dopierom wydała,

Miałam tyle zajęcia...Panna wyjechała...
Ale jest tam gdzieś resztka wczorajszej pieczeni,
Może ci to choć trochę zły humor odmieni.
Biegnę, lecz nowy kłopot, bo nie wiem gdzie klucze,
Szczęściem kowal już w zamek od śpiżarni tłucze,
Kłódka wisi popsuta—majster się nie leni,
A toż istne nieszczęście—mam klucze w kieszeni.
Wszystko jednakże mniejsza, gorsza mąż zgniewany,
Lecz i na to jest rada—zły bo niewyspany.
Trzeba go spać wyprawić. Mężulku kochany
Możebyś ty się przespał? Ej ja jestem głodny,
Ten kawałek pieczeni niedogotowany,
Bodaj przepadł do licha tryb wstawania modny;
Południe już minęło, trzeba spieszyć w polę,
Bodaj piekło porwało taką nędzną dolę...
— Przecież sobie raz poszedł, a zły dziś od rana,
Już nie wiem, jak przebłagać srogiego tyrana,
Choć w gniewie swoim nie ma i najmniejszej racyi,
Błogosławię doprawdy wpływ emancypacyi,
Bo mam prawo nie wiedzieć, o co mąż się gniewa,
I jak po paroksyzmie swej złości się miewa.
Ja tymczasem się bawię cudnych marzeń tkanką,
Jadę na spacer konno, lub amerykanką
Wracam ledwo na wieczór, najczęściej po burzy;
Niestety! na tym świecie nie ma bez kolc róży!
Taka już dola nasza, taki los kobiety.
— Proszę pani gotowe dla pana kotlety.
— No to dawaj, lecz pana dawno w domu nie ma,
A, z takim nieporządkiem anioł niewytrzyma.
Cóż tam za taka pilna robota na polu?
— Pan jest przy wyrywaniu z pszenicy kąkolu,
I...Dobrze, możesz odejść. Czyste młyńskie koło,
A!.. nie można zaprzeczyć, że na wsi wesoło.
Z rana myśl o śniadaniu, potem o obiedzie,
Mąż zawsze jest na polu, lub na karty jedzie,
A ty tymczasem słuchaj przyjemnej muzyki,
Jaką ci drażnią uszy sługi i indyki...
Trudno dłużej wytrzymać...tak dalej nie będzie,
Dusza moja wznioślejsze sny, marzenia przędzie.
Jestem kobietą wolną, nie żadną poddanką!
Lecz podobno się zciemnia co będzie z śmietanką?
Jak jej na czas nie będzie dla męża do kawy,
Znowu narobi krzyków, hałasu i wrzawy.
I to ja, co się z świetnych antenatów rodzę,
Gorzka ironijo losu! wszak ja do krów chodzę,
Lecz trudno, aby życia nie zakłócać swarem,
Trza się widzę bez zwłoki zająć samowarem,
— Proszę pani śmietanka trochę się zważyła.
— Każda twoja nowina zabawna i miła.
Jaką masz, to podawaj, słyszę kroki pana,
Niech choć raz będzie na czas ta kawa podana.
Nie powinien się gniewać; tak mi dziś do twarzy...
Biedne serce co jeszcze o miłości marzy!
— Daj mi co jeść żoneczko bom okropnie głodny,
Niech dzień burzą zaczęty kończy wieczór zgodny.
Ha, kawa obrzydliwa, śmietanka zważona,
Nigdy nie myślisz...aj, aj...co to? ręka oparzona?..
Muszę kapitulować...Pokaż no paluszki,
Czy nie główną przyczyną w twoim nosku muszki?
Ej nie ma znaku wcale, do jutra się zgoi,
A teraz mężulkowi powiedz z łaski swojej:
Z mojemi papierami skończona robota,
Com ci dał w poniedziałek? Wszak dziś już sobota...
— Niechże tu kto uniknie małżeńskiego kwasu,
Nie przepisałam jeszcze boć nie miałam czasu.
— No mniejsza zresztą o to, lecz moje notaty?
— Ej co tam mój Olesiu napij się herbaty...

Przesława.

WYCHOWANIE LUDU,

PRZEZ

Emila Laveley'a

przełożył

Ludwik Szteinbok.

(Ciąg dalszy)

Nie potrzeba przejść Atlantyku dla przekonania się, jak łatwą jest rzeczą bez obciążania budżetu ogólnego zaprowadzić bezpłatność sprzyjającą uczęszczaniu do szkół. W wielkiem księstwie Luksemburgskiem, wszystkie koszta nauki ciążą na gminach, a w razie niedostatku, państwo przychodzi im z pomocą; nadto część wydatków pokrywa się podatkiem nakładanym na rodziców dzieci od 6 do 12 lat mających. Opłacający powyższy podatek dzielą się na klasy, gdyż płacą odpowiednio do swego majątku i liczby dzieci. Biedni są wolni od tego, a dzieci ich otrzymują bezpłatnie książki i materyjały potrzebne, podatek ten zastępując opłatę szkolną daje jak najlepsze owoce. Ojciec familii który w każdym razie obowiązany jest płacić za swoje dzieci, stara się tem samem, posyłając je do szkoły, korzystać z wyłożonych pieniędzy, gdy tymczasem kiedy istnieje opłata szkolna, ona oddala ojca od posyłania dziecka do szkoły, bo zatrzymując je w domu, robi pewną oszczędność. Oto rezultaty otrzymane w Luksemburgu. Na 100 mieszkańców 15 uczniów a na 100 wojskowych mniej jak 2 nieumiejących czytać i pisać (1. 85 na 100.) Stosunek więcej jeszcze zadawalający niż w Prusach.

W Kanadzie francuzkiej i w prowincyi Groningen w Niderlandach podobny system równie dobrze się udał. We Francyi opłata szkolna przynosiła około 20 milijonów franków, która to suma stosunkowo byłaby mniejszą, gdyby ją trzeba było zebrać z podatku na szkoły, a ponieważ nie jesteśmy w Ameryce, trzeba go więc narzucić mieszkańcom, inaczej oni sami nie będą za nim głosowali. Dziwna rzecz że do liczby najzawziętszych przeciwników bezpłatności należą francuzcy biskupi religija katolicka uważała sobie zawsze za obowiązek rozpowszechniać darmo naukę. Dlaczegóż ganić państwo które idzie za przykładem kościoła? Czy Ks. Dupanlonp zapomniał że w r. 1647 Purytanie stanu Massachusett otworzyli bezpłatną szkołę początkową w każdej gminie składającej się z 50 rodzin, oraz szkołę wyższą, gdzie uczono łaciny w każdej gminie 100 rodzin posiadającej, i że te właśnie szkoły bezpłatne, rozmnożone do nieskończoności, uczyniły Amerykę taką, jaką ją dziś widzimy? Dziwna sprzeczność, Biskup francuzki w końcu 19 wieku uderza na system przyjęty w 17 wieku przez biednych wygnańców, pomimo ich niedostatku; a przecież oni dali początek temu cudownemu światu, który się wznosi na drugim brzegu Atlantyku.

Kraje które nie użyją energicznych środków do rozpowszechniania nauki, będą zawsze wyprzedzane, przez te, które okażą pod tym względem więcej przezorności.

Rolnictwo narzeka na brak rąk, aby temu zaradzić ludzie powinni być zastąpieni przez maszyny. Lecz do użycia maszyn potrzeba robotników zręcznych, starannych i pojętnych w przeciwnym razie będą oni psuli delikatne maszyny, potrzebni są również pod ręką mechanicy, do naprawiania tych maszyn w razie popsucia.

W braku wyborowych robotników, użycie maszyn jest połączone z tyloma kłopotami i kosztami, że albo ich nie używają, albo też zarzucają. Rozpowszechniwszy oświatę, użycie maszyn będzie można zrobić przystępnem; nigdzie ich nie ma więcej jak w Stanach zjednoczonych, nigdzie też klasa robotnicza nie jest tak wykształcona.

Przesilenie trapiące wsie we Francyi, powodowane przenoszeniem się do miast robotników i kapitałów, może także tłomaczyć się brakiem przezorności rolników. Aby nie pogorszać produktów ziemi, trzeba jej naturę zmieniać, zerwać z rutyną, rozpowszechniać uprawy sztuczne, prawie zawsze tak dobrze wynagradzające: lecz aby rady te udzielane tak już dawno przez ekonomiję wiejską, mogły być zastosowane w praktyce, trzeba przewidywać potrzeby handlu, śledzić za postępem nauk agronomicznych, nowe metody studyjować i zastosowywać je ze znajomością rzeczy, a do tego potrzeba nauki.

W Belgii smutne skutki ciemnoty, dają się uczuwać jeszcze w daleko gorszy i dolegliwszy sposób. W miarę wzrastającego rozwijania się przemysłu, nadana jest wielka siła eksploatacyi węgla kamiennego w bogatych kopalniach w Mons, Charleroi i Liége, która daje zajęcie wielkiej liczbie robotników, a skutkiem tego większe jest zapotrzebowanie rąk i wynagrodzenie się powiększa. Jestto okoliczność któraby powinna polepszyć dobrobyt tych biednych pracowników, którzy wydobywają z ciemnego łona ziemi, materyjał palny, bez którego teraźniejszy przemysł nie może istnieć. Niestety tak nie jest, im więcej zarabiają, tym więcej świętują, i przez dwa dni tygodnia na nikczemne wydatki trwonią to, co stanowi zwiększony ich zarobek, a nawet więcej jeszcze. A więc to co powinno podnosić, poniża ich, powiększona płaca, któraby mogła być rodzajem ulgi, staje się źródłem niemoralności i przyczyną zepsucia dla samych robotników, dla tych zaś którzy ich potrzebują, prawdziwą klęską, bo nie mogą znaleźć do tej pracy robotników nieprzerwanej działalności, co niezbędnem jest zawsze dla dobrej eksploatacyi i czego wymagają teraźniejsze potrzeby.

Gdyby robotnik posiadał więcej nauki, potrafiłby zrobić dobry użytek z powiększonej swej płacy, bo wtajemniczony w szlachetniejsze przyjemności, nie poszedłby niszczyć swoich sił, zdrowia i dobrobytu, w prostych podnietach karczemnych. To też w Belgii jak i departamentach północnych, przedewszystkiem przemysłowcy intteligentni, domagają się przymusowego nauczania, a ich reprezentanci, domy handlowe, są organami tych życzeń wyjawionych jasnym poglądem na ich własny interes, nie mogą oni dać poznać robotnikom nieoświeconym—praw ekonomicznych, które rządzą rozdzieleniem bogactw, jak niemniej muszą się obawiać ich niechęci, opuszczania się w pracy i lenistwa. Robotnik więcej wykształcony zrozumiałby lepiej swój własny interes, i gdyby miał do roztrząsania ilość swego wynagrodzenia, opierając się na poprzedniej oszczędności, mógłby to uczynić godnie jak równy z równym, i podług rzeczywistych warunków targu.

Rozpowszechnienie się głosowania, decentralizacyja, autonomija gmin, swoboda wymian, wszystkie te reformy wydadzą owoce, przy rozlaniu się światła oświaty. Od chwili kiedy władza centralna zrzeka się opieki swej nad władzami miejscowemi i jednostkami, koniecznie potrzeba, aby te władze i jednostki nauczyły się dobrze spo-

żytkować swą niezależność. Jeżeli chcemy żeby państwo tegoczesne nie opierało się na sile potrzeba mu dać za podstawę rozum.

W Stanach zjednoczonych i Szwajcaryi, panuje porządek, dobrobyt, bogactwo, pomyślność i postęp? Skądże to?.. Oto stąd że dwa te kraje dają nauczycielom szkół miejsca im przynależne, i że na rozszerzanie oświaty poświęcają dużą część swoich dochodów.

Czyńmy tak jak oni, a zbierzemy też same owoce, gdyż widzimy jasno, co je wydaje. Niech w każdej gminie nauczyciel będzie najwięcej szanowany i najlepiej zapłacony, niech każdy podziwia piękną budowę szkoły, niech nie będzie tolerowanem pozbawianie dziecka posiłku duchowego, niech fundusze poświęcane na naukę publiczną, będą jak największe, a wtedy dajcie przystęp ludowi znającemu wtedy swoje prawa, obowiązki i korzyści i przyjmujcie bez obawy pojawiającą się demokracyją nowoczesną.

Jeżeli się cofacie przed temi krokami, musicie się wyrzec dziecinnej nadziei... bo niespodziewajcie się żeby wolność wyszła z nieświadomości, porządek zaś z ciemności...

d. c. n.

ŚWIETNE WIDOKI PANI MARCINOWÉJ.

OBRAZEK Z ŻYCIA POWSZEDNIEGO.

przez Felicyjana.

(ciąg dalszy)

— Więc ukrywasz coś przedemną. Gdzieś był tak długo? co robiłeś? Ja tu o mało nie umarłam z tęschnoty —

— Agatko — uspokój się kochanie. Tu całej zimnej krwi potrzeba — na egzaltacyje teraz nie czas —

Dziewczyna łzy połknęła.

— Odebrałeś odpowiedź od wuja —

— Nie — nie od wuja (mówił to z wahaniem).

— Przysięgnij: że nie od wuja.

Edward dał jej znak milczenia.

— Mówmy ciszej — rzekł — i niech to zostanie między nami dwojgiem. Wspólne mieć będziemy szczęście, wspólne też miejmy cierpienia. Niech się nikt trzeci w to nie miesza, choćby nawet matka.

Pomyślał chwilę.

— A więc tak — próżnobym i pod ziemię schował — serce kochającej kobiety w mogile nawet prawdy się doszuka. Istotnie — onegdaj jeszcze odebrałem list od wuja.

— Nie zgadza się na nasze połączenie — o niczem słyszeć nie chce...

Edward milczał.

— Widzisz Agatko — rzekł wreszcie, silnie sobie pocierając czoło — ja muszę wyjechać na czas jakiś...

Dziewczyna osłupiała.

— Dokąd? co? jak? — co ty mówisz?

Na niedługo — na dni parę — może kilka najdłużej —

— To się u ciebie nazywa: nie długo? Ja cię nie puszczę...

— Nie bądź dzieckiem. Od tego zależy może nasza przyszłość cała. Nawet — niezawodnie zależy. Nie będę ci dłużej ukrywał prawdy. Istotnie, wuj się na nasz związek nie zgadza. Na domiar wszystkiego, żąda: żebym natychmiast do niego przyjeżdżał — inaczej grozi: że mię wydziedziczy —

Agatka ręce załamała.

— Jeśli pojedziesz — nie wrócisz...

— Co ci się dzieje? Wrócę — przysięgam ci. Dla czegóżbym nie miał wrócić?

Mówiąc to, zdawał się myśleć o czem innem.

— A pojechać muszę koniecznie — muszę, nic nie pomoże. Znam ja *starego*. Zawzięty jest, zapalczywy, nie lubi żeby mu się sprzeciwiać. Co innego, na miejscu. Jużto trzeba ci wiedzieć: trafił swój na swego — ja także jestem jak kozioł uparty. Do nóg mu się rzucę — błagać go będę — a jak i to nie pomoże, stawię się ostro i zrobię swoje.

— Ale ty nie wrócisz —

— Po cóżbym jechał?

— To nie jedź, jeśli mię kochasz —

— Właśnie dla tego że cię kocham, pojadę. Jabym ci nieba rad przychylił, nie dopiero majątek pod nogi rzucił. Cóżto? ty myślisz że wieś jedna i druga piechotą chodzi? Ale znowu, jeślibym dla nich ciebie miał się wyrzec — to pal dyjabli majątek i niech piorun trzaśnie wuja! Wolę nędzę, śmierć, sto śmierci — słowo honoru — niźli życie najsłodsze bez ciebie. Proszę cię tylko, Agatko — na wszystko cię proszę — słowa jednego o tem matce nie mów. Znasz ją — zaraz się radzić gotowa Bóg wie kogo — i może jeszcze gorzej rzecz popsuć. Jeśliby się spytała: o czem tu między nami mowa była — powiedz jej: żeśmy się poróżnili, potem przeprosili — lub coś podobnego. Mamy jeszcze trzy dni do namysłu (wuj dał mi tydzień) to przez ten czas we dwoje uradzimy przecię coś stanowczego, i wszystko pójdzie dobrze. Tylko się nie martw zbytecznie, bo mi spokojność twoja droższa nad moję własną.

Mówiąc to, wziął kapelusz i zabierał się do odejścia.

— Że też to jednak cudak do pokazywania za pieniądze ten stary — dodał z uśmiechem wdziewając rękawiczki. — Nie — doprawdy — takim ludziom, to się wydaje: że wszystko można zrobić przy niejakiej dobrej chęci. Toćże wyobraź sobie — masz tobie! urwał mi się guzik...

— Ja ci go zaraz przyszyję —

— Wyobraź sobie — pisze mi on między innemi, że przyjechawszy do niego, zastanę już gotowy paszport do wyjazdu za granicę na dwa lata. Na dwa lata! słyszane rzeczy! —

Agatka zbladła i nogi się pod nią zachwiały.

— Za granicę! zginęłam. Jeśli tak — to już po wszystkiem!

Edward dziwnie jakoś na nią spójrzał.

— Jakaś ty śmieszna moja Agatko — mój Aniołku — jak możesz nawet przypuszczać co podobnego? No bądź zdrowa. Do zobaczenia. A nie martw mi się — proszę cię — bądźże przecię rozsądna...

Dziewczyna rzuciła mu się na szyję.

— Ja cię nie puszczę — mówiła łkając — bo jak pójdziesz — to choćbyś nie pojechał — czuję że nie wrócisz więcej.

On milczał, i patrzał na nią jak w tęczę.

— Ależ wrócę — powiadam ci, że wrócę — to dosyć, spodziewam się.

Powiedziawszy to, odjął sobie z szyi jej ręce, pocałował ją w usta i w oczy zapłakane, i wyszedł — a ona padła na stołek, więcej martwa jak żywa.

Niebawem, dla uniknienia wypytywań matki, poczęła się skarżyć na szaloną migrenę (pani Marcinowa wielkie miała poszanowanie dla tej modnej choroby) — następnie położyła się do łóżka, chociaż dobrze wiedziała: że przez noc całą, oka nie zmruży.

Jakoż istotnie, bez końca tylko snuły jej się po głowie zdrady i niewierności kochanków, i rozmaite dziwne położenia, których się tyle naczytała w romansach. Niekiedy zrywała się biedz — uciekać gdzieś z Edwardem aż na krańce świata...

— A jeśli on ją kochać przestał?..

Jeśli ją Edward porzuci — ona się otruje. Ale skąd tu trucizny wziąść? W aptece, nie sprzedadzą bez recepty — recepty zaś na otrucie żaden lekarz dać nie zechce. W Wiśle się utopi — to będzie najlepiej — niech ten Edward niegodziwy wiekuiste wyrzuty cierpi. Ale jak on z jaką inną po niej się pocieszy? — W takim razie, dla pewności, trzeba go koniecznie zabić wprzódy — niech nie będzie ani mnie, ani tobie. — Umrą razem. — Ale nuż on nie zechce? E! ktoby się tam pytał? Boże! jaka ona nieszczęśliwa! co tu robić? co tu robić?...

W ten sposób, rojąc tysiączne szaleństwa, zrozpaczona, zbolała, napróżno płonącą głowę zimną wodą sobie chłodziła, próżno się zmuszała o czem innem myśleć; choć niemal słabo jej się robiło ze zmęczenia, sen nie przychodził, ani pociecha żadna, ani choćby jakie takie uspokojenie.

ROZDZIAŁ XVI.

Dafne w drzewo bobkowe przemieniła się.

Nazajutrz, wstała z czerwonemi, nabrzmiałemi od płaczu oczyma — jednak twierdziła: że jej nic nie jest, i że tylko trochę w nocy nie spała. Pani Marcinowa od dawna już przyzwyczajona była do podobnych wymówek, powtarzających się niemal po każdym przeczytaniu jakiej czułej książki.

— No — ależ Edward? co mu takiego było, że nie przychodził?

Agatka roześmiała się bardzo kunsztownie.

— Zwyczajnie — panicz chciałby sobie już zawczasu tony jakieś stroić. Gadał ni to ni owo — ale Agatka wykłóciła się z nim porząd nie — i znów się zrobił najniższym sługą.

Pani Marcinowa spójrzała na nią czcią przejęta.

— Ba, ba — pomyślała — da ona sobie radę na świecie — nie trzeba jej rozumu uczyć.

Dnia tego, Julka miała ciężkie chwile. Musiała być nieustanie na czatach — raz wraz podpatrywać i donosić: czy Edward wyszedł, czy jest w domu, kiedy wrócił, jak długo bawił, jak wygląda, co robi. Przy tej zręczno-

ści, różnemi czasy niemało też zjadła cukierków, niby za swoje trudy rozliczne, ale właściwie żeby milczała. Wreszcie nadużywając swego położenia, kazała się Agatce wyperfumować milefleurem, i to jej nawet przy ekstramecie w podwórku, dość długie pomiędzy ulicznikami zjednało poważanie.

Tymczasem ku wieczorowi, właśnie trafem osobliwszym kiedy pani Marcinowa tylko co na miasto wyszła, zjawił się Edward — ale wyglądał o wiele jeszcze mniej pewny siebie niż wczoraj było. Agatka czekała go znowu z gorzkiemi wyrzuty — przygotowała już sobie rozmowę całą — przewidziała wszystkie jego odpowiedzi — miała go zewsząd pobić zwycięzko — i wreszcie zmusić do niesłychanie uroczystej przysięgi, że jeśliby ją kochać kiedy przestał, to się natychmiast z nią razem otruje (obowiązkiem jego będzie wtedy porozumieć się w tym względzie z apteką) — tymczasem — rzecz dziwna — na widok jego, zapomniała odrazu od czego zacząć miała, co powinno było dalej nastąpić, co jeszcze potem, i tym podobnie aż do samego końca, — słowem, zgnębiona i przybita, rzuciła się tylko ku niemu, potem się na kolana osunęła, i ręce załamawszy, zaniosła się od płaczu. On ją podniósł, posadził na stołku, ucałował, i przedewszystkiem starannie zaraz drzwi za sobą zamknął.

— Wiem co mi masz do powiedzenia, Agatko — rzekł potem głuchym głosem, z trudnością tchu nabierając — że cię zdradzam — że cię nie kocham — że ci życie już nie miłe — że bodajbyś mię była nigdy nie znała — ale na to wszystko czasu szkoda — tu trzeba radzić, nie rozpaczać. Czy możemy być pewni: że nas nikt nie podsłucha?

Upewniwszy się: że Julki nigdzie nie ma, i że sklepowa kupującemi jest zajęta, tak mówił dalej z cicha w sposób tajemniczy:

— Przemyśliwałem całą noc poprzednią (słowo honoru ani na chwilę nie zmrużyłem oka) i przekonałem się: że nie mamy wyboru. Okoliczności ułożyły się tak nieprzyjaźnie a razem tak nagląco, że tylko jedno pozostaje do zrobienia...

— Cóż takiego?

— Musimy się pobrać, i to jak najprędzej.

Dziewczyna za całą odpowiedź namiętnie tylko uczepiła się jego ramienia.

— Ale to jak najprędzej — czy rozumiesz mię Agatko? — Dziś, jutro najdalej. Bo widzisz — jutro, to już ostatni dzień dany mi do namysłu — trzeba się tedy na sam czas ułatwić, żeby już nic a nic nie było do odrobienia. Dla tego prosto od ślubu pojedziemy do wuja, padniemy mu do nóg, i stary, niespodzianie zaskoczony, oszołomiony, rozczulony, czy będzie chciał czy nie, przebaczyć musi — bo już się wtedy nie czas będzie drożyć z przebaczeniem.

— Ale ślub — nie dadzą ślubu bez zapowiedzi —

— Ja też i to przewidziałem i wszystko mam już w gotowości — a od czego indult? Tylko że ponieważ w Warszawie księża wymagaliby jesze tysiącznych formalności, a tu czas nagli — dla tego pojedziemy do Częstochowy. Jest tam stary ksiądz, który mi chrzest dawał — dawny przyjaciel jeszcze mojego ojca. Jużem go uwiadomił telegrafem i czekać będzie—

— A dla czegóżby w Warszawie miano robić trudności?

— Dla czego? jakaś ty dziecinna! Przecież potrzebnem jest do tego zezwolenie rodziców, czy kogo starszego. Co do mnie, rodziców wprawdzie nie mam — ale wuj, który mi ich zastępuje, wiesz przecię, że się na nasz związek nie zgadza —

— No więc przynajmniej moja matka —

— Twoja matka? ona także na to nie pozwoli —

— Jakto? przecież to jest najgorętszem jej życzeniem —

— Agatko — chceszże zgubić całą sprawę? Zastanów się tylko. Okoliczności są naglące, ja jak Boga kocham czekać nie mogę. Jak powiesz matce... nie — słowo honoru — czyż ty nie wiesz? Ona sobie w głowę włożyła: że nas koniecznie połączy jej brat — wielki wikary — i że wesele musi być nader głośne...

Agatka osłupiała — w głowie jej się mącić zaczęło, w uszach szumieć, wszystkie przedmioty zdawały się wirować w koło niej.

— To jakże? tak, we dwoje tylko? ukradkiem — bez niczyjego błogosławieństwa? szeptała drżąca.

— Ja innego środka nie widzę — nie znam nie przypuszczam. Jeśliś obmyśliła co lepszego — mów, słucham.

Agatka szukała po głowie, ale się pokazało że już nawet myśleć zapomniała. Edward przechadzał się gorączkowo, dziwnie jakoś wzburzony.

— Nie wiem co możesz mieć przeciw temu. Toćże pomyśl tylko Agatko — na Jasnej Górze — w tej cudownej, starożytnej świątyni — to niech mię dyjabli wezmą — aleć to przecię nie lada błogosławieństwo. Wieleż to osób za nic w świecie nie chciałoby brać ślubu gdzieindziej? A że do tego są jeszcze i nadzwyczaj trudne okoliczności... No, koniec końcem, daję ci słowo uczciwego człowieka — jak honor kocham — jak ci z duszy dobrze życzę — przecież nie namawiałbym cię na nic złego. Znasz mię — co powiem, to jest u mnie święte. Że cię tam matka dniem jakim później przeżegna, czyż dla tego mamy się z sobą rozstawać na wieki?

— O! nie mów tego, bo mi serce pęknie —

Popatrzał na nią długo — wyraziście, i wreszcie rzekł chłodno:

— Cierpiąca jesteś — potrzebujesz wypoczenienia; a ja ci najniepotrzebniej głowę rzeczami podobnemi zawracam —

Brał za kapelusz.

— Dokąd idziesz?

— Albo ja sam wiem? potrzebuję się opamiętać — w głowie mi się kołuje — opuszczają mię siły — brak mi powietrza...

— Edwardzie — jeśli odejdziesz — umrę...

— Przecież zostać tu nie mogę?

— Ani ja uciekać z tobą — to darmo.

— W takim razie bądź zdrowa, i niech wspomnienie moje towarzyszy ci jak najdłużej.

— Co znaczy ta mowa?

— Nic nadzwyczajnego. Ty spełnisz jak sądzisz twoję powinność — ja także zrobię do czego mię los nienawistny przymusza...

Mówiąc to, ku drzwiom się zbliżył.

— Edwardzie! Edwardzie! — zawołała dziewczyna wybuchając płaczem — przysięgnij mi na wszystko co masz najświętszego pod słońcem, że to inaczej być nie może.

— Przysięgam ci.

— Nie. Idź sobie. Choćby i prawdą było to co mówisz, ja z tobą za nic nie pójdę.

Edward w milczeniu tylko wziął za klamkę, Agatka z jękiem do nóg mu upadła.

— Nie — nie wytrzymam dłużej — zawołała. — Niech będzie jak chcesz — rozkazuj, rozporządzaj mną jak ci się tylko podoba. Kiedy mam być gotowa? co? jak? Choćby natychmiast — idę.

ROZDZIAŁ XVII.

Odyssea.

Nazajutrz Agatka poszła z rana do kościoła — ale cóż z tego, kiedy już i pora obiadu nadeszła, a jej jeszcze z powrotem nie było. Nadciągnął wreszcie wieczór — co u licha? Agatki ani śladu. Pani Marcinowa wysłała Julkę na górę.

Zamknięte. Pan Edward cały dzień w domu nie był.

— Więc są widać razem. No, kłócili się — teraz on ją pewnie przeprasza — oprowadza po sklepach, wozi, ławi, słowem przejednywa na setne sposoby — zwyczajnie żeby się zasłużyć. Skutkiem tego, dziewczyna nie miała nawet czasu dać wiedzieć co się z nią dzieje — tak już nie raz było. Wieczorem, niezawodnie na teatr jeszcze poszli — wrócą jak zwykle wedle jedenastej.

Ażci i po jedenastej już dawno, a ich jak nie ma tak nie ma...

— O! źle! Coś jej się może niedobrego przytrafiło — albo raczej obojgu, bo i on by się już dotąd przecię zjawił. Żeby choć była Magdusia do porady — ale i ta się tam o coś z Agatką słyszę pokłóciła, i dla tego nie przychodzi. — Co tu robić o tak późnej godzinie? Już i północ blisko — może jeszcze wrócą...

Wybiła północ — nie wrócili.

— Gwałtu! do policyi by dać wiedzieć, do ratusza, w gazetach ogłosić, telegrafować. Ale oni to wszystko do jutra gotowi odłożyć.

Pani Marcinowej słabo się robić zaczynało ze strachu.

— Żeby choć żywą jaką duszę do porady mieć. Ha! nie ma co — trzeba będzie pychę z serca zdjąwszy, do pana Jacentego się udać, toćże to sprawa familijna.

Jakoż, nie namyślając się długo, drżącą ręką mieszkanie zamknęła, klucz do kieszeni wzięła i pobiegła.

Dzwoni u bramy raz — drugi — trzeci — coraz silniej.

— Kto tam? odzywa się głos zaspany.

— Proszę otworzyć.

— Ale kto taki?

— No — otworzyć tam, kiedy mówię.

Stękając, zwlókł się nareszcie stróż ze szlabanu.

— A do kogo to?

— Do pana Gołaszewskiego.



Kościół S-go Jędrzeja w Krakowie.

— Gołasioski! co mi za pon! niech go dyjabli żywcem porwą! Nikomu on spać nie daje — na katarynce po nocach dudli. Już mu tam rząńca dzisiaj wypowiedział mieszkanie. Szczęśliwa droga, na złamanie karku!

W innych okolicznościach, podobne wyrazy słysząc, nigdyby ich pani Marcinowa nie puściła płazem jak wiemy — ale obecnie wolała udać że jej mimo uszu poszły — a może i istotnie tak było — człowiek w strapieniu słuch miewa przytwardy. To jednak czego żadną miarą niedosłyszeć nie mogła, były to piskliwe dźwięki krakowiaczka, zakłócające ciszę nocną i spokój sąsiadów, dzięki morderczej korbie pana Jacentego.

d. c. n.

ZARYSY

Gubernij północno-i południowo zachodnich.

Skreślił

Jan ze Śliwina.

(Ciąg dalszy).

V.

Gubernija Grodzieńska.

Obszerna płaszczyzna, 696 mil kwadratowych wynosząca *), czyli 33,722 wiorst kwadratowych—stanowi dzisiejszą guberniję *Grodzieńską*. Koło Grodna i tylko wzdłuż Niemna ciągnie się pasmo gór kredowych, dość znacznych. Najwyższe wyniosłości mają od 500 do 600 stóp nad powierzchnią morza Baltyckiego, na wschodzie zaś, w powiecie Słonimskim do 1000 stóp.

Piękna ta kraina, niezawodnie od czasów pierwotnych zasiedlona, w epoce kwitnienia słowiańszczyzny niepoślednie zajmowała miejsce. Geologowie znajdują tu trzeciorzędne pokłady, ze zwierząt zaś zaginionych przedpotopowych, znajdowano kości mamuta, północnego nosorożca i innych. W muzeum utworzonym w Grodnie przy Izbie dóbr Państwa, są ciekawe okazy kości zwierzęcych, pięknych skamieniałości i t. d. Grodzieńszczyzna już w XII wieku stanowiła oddzielne księstwo i miała swych władców, lecz wcześniej od innych księstw udzielnych Rusi, bo w wieku XIII już do Litwy należała. Tak samo kraina Brzeska już w wieku X, miała swych władców Rusinów, w ciągłych utarczkach z Polską zostających, a dopiero koło roku 1242 ściśle z litwą została złączona. Słonimszczyzna, na wybrzeżach Szczary, już w pierwszej połowie XI wieku znaną była jako dzielnica książąt ruskich kijowskich, później ulegała na przemian przemocy Litwinów i Mongołów, a w końcu od r. 1258, w skutek przymierza Króla Mendoga, z Lwem, synem Daniela, księciem halickim, który sześć lat dzierżył Słuczczyznę, na zawsze już do Litwy, raczej do Rusi Litewskiej przyłączoną została. Część litwinów osiedlonych tu w tymże stuleciu, do dziś dnia przechowała mowę ojczystą, a mianowicie w okolicach Zdzięcioła, w trzech osadach: Narcewicze, Pogiry i Zasiecze.

Cały ten kraj przed rokiem 1795 należał do składu dwóch dawnych województw: Trockiego i Brzeskiego. Poczem, jak już wspomnieliśmy wyżej, ta część Litwy podzieloną została na dwie gubernije: Wileńską i Słonimską, w roku następnym połączone w jedną Litewską i nakoniec w r. 1802 część jej oddzieloną została i utworzyła guberniję Litewsko-grodzieńską. W r. 1843 wcielono do tej gubernii obwód Białostocki, a natomiast odłączono powiat Lidzki do gubernii Wileńskiej i powiat Nowogrodzki do gubernii Mińskiej.

Dziś więc w gub. Grodzieńskiej mieszkają Czarno-Rusini, Mało-Rusini i garstka Litwinów, a na zachodzie pewna liczba Polaków. Dawniej południowe strony województwa Brzeskiego, wraz z częścią województwa Mińskiego stanowiły tak zwane *Polesie*. Tu nakoniec, w części przynajmniej, z główną wszakże stolicą, była siedziba starożytnych Jadźwingów, Jaćwieży, Jazygów, dawno wygasłych, a których krew płynie jeszcze w okolicach Białegostoku, i na wybrzeżach Narewy i Bobra. Najrozmaiciej tłómaczono plemienność tego narodu. Dominik Szulc *) zalicza ich do dawnych Prusaków, a więc do szczepu litewskiego; lecz Szulc wszystkich podlasian do Prusaków zalicza, a w końcu w ostatnich latach niektórzy historycy nasi chcą w starodawnych Jadźwingach widzieć Polaków, dla tego, że tak ich Papieże w bullach swoich mianowali i że w r. 1264 stolica rzymska „tych pogan krainę“ w nagrodę za przyjęcie wiary chrześcijańskiej księciu Bolesławowi na własność odstąpiła. Był to dowód szczodrobliwości Ojca św. wątpić wszakże należy, czy Papież uwzględniał istotnie w tym wypadku pochodzenie tego narodu. Co do nas wiemy tylko, że w okolicach Białostockich leży odwieczny *Jaćwież;* wiemy że Jaćwieżowie byli odwiecznemi hołdownikami Litwy, że Trojden i Mendog Litewscy nad niemi panowali; wiemy w końcu, że uczony prof. Jaroszewicz, głęboki, a bezstronny i najsumienniejszy badacz dziejowy, mieszkając na miejscu, wiele lat życia poświęcił pracom historycznym, a chociaż znane mu były domysły Szulca, aż do końca życia Jaćwieżów raczej za Litwinów, jak za Polaków uważał.

Dzisiejsza gubernija Grodzieńska leży pomiędzy 51° 31' i 54° 2' szerokości północnej, a 41° 28' i 44° 23' długości wschodniej, od pierwszego południka.

Na północ graniczy z gub. Wileńską, na wschód z Mińską, na południe z Wołyńską i na zachód z Królestwem Polskiem.

Gubernija ta obfituje w rzeki, kanały i jeziora. Jakoż $^1/_8$ część całej przestrzeni zalana wodą, a mianowicie 460,000 dziesięcin. Mamy tu wspaniały *Niemen*, spławny na przestrzeni mil 37; wypływa on z gub. Mińskiej, a tu w Grodzieńskiej przyjmuje do siebie rzekę Szczarę; i kilka pomniejszych. *Bug zachodni*, z Karpat wypływający stanowi granice pomiędzy gubernijami Wołyńską, Grodzieńską i Królestwem Polskiem (gdzie pod Serockiem łączy się z Narwią i wpada do Wisły pod Modlinem); przestrzeń którą przebiega granicą gubernii wynosi 524 wiorsty. Bug zachodni przyjmuje do siebie *Muchawiec* pod Brześciem Litewskim i *Nurzec*. Dalej *Narew*, wypływa z błót puszczy Białowiejskiej i łączy się z Bugiem; *Jasiołda* wypływa z jezior w powiecie prużańskim, łączy się z *Prypecią* i wraz z nią wpada do Dniepru; w końcu *Bóbr* i *Pina*. Wyliczyliśmy tu tylko żeglowne rzeki. Oprócz tych głównych rzek, dla ułatwienia wodnej komunikacyi, gubernija Grodzieńska posiada jeszcze kanały spławne, wykopane za czasów Stanisława Augusta: *Ogiński*, *Królewski* i *Publiczny*. Znaczna ilość jezior rozsiana jest na całej przestrzeni gubernii. W powiecie grodzieńskim jeziora połączone są ze sobą strumykami. Z tych jedno, *Sałaty* leżało o 17 sążni wyżej od powierzchni Niemna, 23 Marca 1841 roku, runęło z góry tworząc dwumilową rzekę i uciekło do Niemna, tak że na miejscu dawnego jeziora w tym samym jeszcze roku zasiano grykę.

Lasy zajmują tu jedną trzecią część całej przestrzeni. Tu właśnie, o 13 mil od Grodna, zaczyna się puszcza *Białowiejska*. Zajmuje ona część powiatu Prużańskiego, a krańcami sięga Grodzieńskiego, Wołkowyskiego, Bielskiego i Brzeskiego. Przestrzeń jej wynosi 112,079 dziesięcin, czyli 1,076 wiorst kwadr. Tu właśnie i jedynie tu, w tej puszczy, mieszka sławny *żubr* (biso coropaeus) przed wielu tysiącami lat kolega tygrysa, nosorożca, hyjenny i wielu innych przedpotopowych zwierząt, które w drugim okresie epoki kamiennej zachodnią Europę zamieszkiwały, a które podczas późniejszych przewrotów znikły zupełnie. Żubr jeden ocalał *) i dziwnym zrządzeniem losów w Białowieżskiej puszczy zamieszkuje, jako przedstawiciel owych olbrzymich zaginionych gatunków. W r. 1815 liczono tu żubrów 300, w roku 1860 podług spisów i metryk starannie prowadzonych, liczono ich do tysiąca siedmiuset; dziś wszakże liczba ta zmniejszyła się, skutkiem znacznego podobno wyniszczenia samej puszczy. Utworzono osobne osady dla dozoru i przygotowania trawy na zimę dla żubrów. Przez puszczę Białowiejską przepływa kilka rzek, jak Narewka, która ją dzieli na dwie równe części, Lesna, Biała, Jasiodła, Swisłocz i inne.

Po Białowiejskiej za największą puszczę uważaną jest Grodzieńska puszcza, w powiecie Grodzieńskim, w stronie północnej; zajmuje ona przestrzeń 100,000 dziesięcin.

Gubernija ta prowadzi dość znaczny handel zbożowy rzekami Bugiem i Niemnem, głównie w portach Królewickim i Gdańskim Nadto ze wszystkch gubernij zachodnio-północnych najwięcej odznacza się przemy-

*) W Encykloped̨yi Orgelbranda (X, 758), powiedziano przez pomyłkę że powierzchnia gub. Grodzieńskiej wynosi 5,120 mil kw.

*) O znaczeniu Prus dawnych.

*) Z tego gatunku, drobniejszy wszakże, jest *Tur* na Kaukazie, oraz Wółduły w Węgrzech — ale Żubra litewskiego nigdzie więcej nie ma.

słem rękodzielniczym i fabrycznym. W Słonimie, w Białymstoku i w okolicach tego ostatniego, jest wiele znacznych fabryk sukiennych i kortowych, których wyroby nieustępują nieraz angielskim, a o wiele przewyższają austryjackie. W Białostockim w ogóle liczą do 950 warsztatów, przy których pracuje do 3200 ludzi; wyrób roczny wynosi 1241000 arszynów rozmaitych tkanin (przeważnie kortów) wartości do 2 milijonów i pół rubli rocznie. W ogóle zaś w r. 1865 liczono 76 fabryk sukiennych, w których pracowało 3621 osób, wyrób wynosił 1,427,297 arszynów wartości 3,352,204 rubli. Gubernija dzieli się na dziewięć powiatów: Grodzieński, Białostocki, Sokólski, Wołkowyski, Słonimski, Bialski, Prużański, Kobryński i Brzesko-litewski. Wewnętrzny zarząd powiatów składa się z 41 *stanów* czyli cyrkułów 31 cyrkułów pokojowych dla zarządu włościańskiego i 65 etapów żandarmskich.

Ludność gubernii wynosi podług wyznań: prawosławnego 529,990; rzymsko-katolickiego 236,798; protestanckiego 16,547; mahometańskiego 1,165; żydów 102,314 — Razem 886,814 *). Wypada zatem na jednę kwadratową wiorstę 27. — Ludność ta mieszka w 1 gubernijalnem i 8 powiatowych miastach, 84 nadetatowych miastach i miasteczkach, 187 gminach.

Podług późniejszych wiadomości z r. 1870 ludność gub. Grodzieńskiej podług stanów wynosiła: szlachty sukcesyjnej 36,211; szlachty osobistej, oraz urzędników 4,453; Duchowieństwa wszystkich chrześcijańskich wyznań, oraz zakonnic 4,265 **) obywateli miejskich 134,266; obywateli wiejskich 655,812; wojskowych 44,005; cudzoziemców 3613, nadto osób, które nie weszły do wyżej wymienionych działów 11,569. Razem 894 194, a więc różnica wynosi 7,380. — Stosunek ludności męzkiej do żeńskiej wynosił w miastach 100: 89, a po wsiach 100: 105. — W roku 1870 urodziło się 43,898, umarło 27,429, a zatem jednoroczne zwiększenie się ludności, stanowi 16,469 ***).

Dodać tu jednak potrzeba, że w gubernii Grodzieńskiej, w powiecie Brzeskim, w dobrach Radziwiłłowskich, jeszcze przed rokiem 1790, Holendrzy założyli dwie osady *Neubrów* i *Neudorf*. Ale jest tam niemało i niemców. Trudnią się oni rolnictwem i rzemiosłem. Niemało niemców jest i w innych powiatach, a najważniejsze fabryki do nich należą.

Gubernija Grodzieńska przerznięta jest siecią kolei żelaznych, które ją łączą z Warszawą, Wilnem, Kijowem, Mińskiem i t. d. Nadto ma gościńce bite i trakty pocztowe, co wszystko obok znacznej komunikacyi wodnej, nadzwyczaj ułatwia handlowe i przemysłowe przedsiębierstwa, szkoda tylko, że te po największej części w rękach niemieckich i żydowskich pozostają. *d. c. n.*

*) Liczby te wyjęliśmy z tablicy statystycznej w r. 1867 przez jenerała *Dreniakina* ułożonej. Niżej podana liczba, z r. 1870, z wiadomości miejscowego biura statystycznego.

**) W tej liczbie wykazane i rodziny duchowieństwa prawosławnego.

***) Ob. ciekawe szczegóły o *Ruchu ludności*, dobrze i staranie opracowane w Statystyce gubernii Grodzieńskiej, *Bobrowskiego*.

PRZEGLĄD WYSTAWY
TOWARZYSTWA ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH.

Przegląd oddziału malarskiego rozpoczniemy od portretów, których liczba w stosunku do innych obrazów, w ostatnich czasach bardzo wzrosła. Artyści nasi chętnie uprawiają ten rodzaj malarstwa jako najzyskowniejszy a niemniej od innych szlachetny, portrety bowiem, byle wykonane z poczuciem artystycznem i natchnieniem, mogą być na równi z innemi rodzajami zaliczone do dzieł twórczych sztuki malarskiej. Owszem, sława niektórych najznakomitszych malarzy opiera się głównie na portretach. Do takich należą Tycyjan przedstawiciel szkoły weneckiej, a z flamanckich Rembrandt, dalej Rubens, Van d'Eyck ect. Jakoż wyznać należy, że malarstwo portretowe doszło u nas do pewnej niepospolitej wysokości rozwoju. Już portrety zmarłego niedawno Simlera, uważane były za swego rodzaju perfekcyje; dalej ceni ono i cenią do dziś portrety pastellowe Tytusa Maleszewskiego dalej Rodakowskiego, zenit jednak stanowią w tym względzie utwory Horowica.

Na wystawie naszej znajdują się obecnie dwa obrazy tego artysty. Pierwszy z nich przedstawia hr. Berga b. namiestnika, drugi młodą damę pochodzenia izraelskiego. Co do pierwszego z tych portretów, trudno sobie wyobrazić z jak niewdzięcznym przedmiotem musiał się tu łamać artysta. Zamiast malowniczej draperyi, mundur dalej pewna urzędowa postawa konieczna w portretach tego rodzaju, oto przeszkody które podobnym obrazom odbierają prawie z konieczności wszelkie zalety artystyczne, nadając im natomiast pewną cechę urzędową. Można jednak powiedzieć że p. Horowic wyszedł z zadania zwycięzko, i że bądź co bądź portret jego może być zaliczony do prawdziwych dzieł sztuki. Szczególniej ręce są malowane w sposób niezrównany. Czujesz ich sprężystość, widzisz je najwyraźniej w przestrzeni powietrznej, nie zaś na płaskim płótnie. Karnacyja tu również wyborna, przyczynia się znakomicie, obok samego rysunku do uwydatnienia powyższych przymiotów.

Drugi portret, przedstawiający młodą damę pochodzenia izraelskiego, uderza na pierwszy rzut oka przedewszystkiem wyborną charakterystyką. Nie widząc i nie znając oryginału, możnaby się założyć, że podobieństwo uchwycone tu zostało z wiernością, przechodzącą prawie w tożsamość. Portret ten obok mistrzowstwa formy, zaleca się jeszcze i tem, że postać przedstawiona jest doskonałym w swoim rodzaju typem, dla tego obraz wygląda raczej jako nader szczęśliwie wybrane studyjum z natury. Rzeczwiście te włosy ciemno rude, nader delikatna płeć, czarne o zuchwałem spojrzeniu oczy: wązkie usta i wyraz twarzy śmiały, więcej trochę ostry nawet w uśmiechu rzekłbyś wyzywający, uosabia do tego stopnia rassę i oryjentalne pochodzenie, że doskonalszego typu, próżno byłoby szukać. Jestto jednak typ spotykany u Horowica dość często. Artysta zdaje się wyszukiwać tak charakterystycznych głów umyślnie gdyż widzieliśmy podobne twarze nawet w jego portretach dzieci. Artysta wywalcza dla nich prawo obywatelstwa w zakresie sztuki i wywalcza zwycięzko charakterystyczność ich bowiem, sprawia, że nie za proste tylko podobizny, ale za niezmiernie oryginalne i do wysokiego stopnia typowe kompozycyje mogą być uważane. Co się tyczy technicznej strony obrazu, ta nie pozostawia nic do życzenia układ draperyi lekki i swobodny, malowniczy, a jednak nie teatralny i traktowanie całości i werwy: subtelne a jednak pełne śmiałości i koloryt jasny wyrazisty, najodpowiedniejszy do typu głowy wreszcie styl do wysokiego stopnia oryginalny wszystko to są przymioty pozwalające zaliczyć Horowica do najznakomitszych portrecistów współczesnych.

Rodakowskiego portret mężczyzny, zdradza wysokie obeznanie się z użyciem świateł i cieni, tudzież biegłość w rysunku. Pewna posępność kolorytu, w przeciwstawieniu do barwistości Horowica, zdaje się być odrębnością właściwą p. Rodakowskiemu. Nie jestto rembrandtowskie zestawienie głębokiego cieniu z jasnem światłem bez odpowiedniego przejścia w kartonach, ale ogólne trzymanie obrazu w barwach przeważnie ciemnych. Nadaje to utworom cechę oryginalną, odbiera jednak przedstawionym postaciom ową energiję z jaką występują u Horowica.

Co do innych portretów, pomijając niektóre oddawna już wystawione, zwrócimy tylko uwagę na portrety p. Tytusa Maleszewskiego. Dwa z nich są to pastelle i trzeci wielkiego formatu olejny. Z obrazów pastellowych, jeden przedstawia znaną powszechnie poetkę Deotymę (p. Jadwigę Łuszczewską) drugi tutejszą konsulowę angielską. Oba portrety są to prace niepospolitej wartości. Suche farby są specyjalnością p. Maleszewskiego. Świetność kolorytu, i miękkość stanowią najcelniejsze zalety tych obrazów, odznaczających się przytem niepospolitem ciepłem, jakie nieledwie że tylko farbami olejnemi wyrazić i uchwycić się daje. Obrobienie akcesoryjów w drugim portrecie (Deotymy) przewyższa jeszcze wykonanie ich w pierwszym. Portret olejny wielkiego formatu, tegoż artysty, nie odznacza się za to wcale wielkiemi przymiotami. Widocznie artysta znalazł się tu na obcem dla siebie polu. Cieniowanie twarzy z wielu względów wadliwe, ręce jakby bez kości w środku, wymuszony i nie dość naturalny ich układ, draperyja malowana niby na efekt, a w gruncie rzeczy byle zbyć, a nakoniec nadmiar sinawych i żółtawych refleksów, wszystko to czyni portret ten wielce wadliwym, i stawia go w szeregu najmniej udatnych prac tego rodzaju.

Przechodzimy teraz do obrazów rodzajowych i historycznych.

Chełmońskiego Przyjazd na polowanie, jestto obrazek ze wszechmiar zasługujący na uwagę, tak przez pomysł jak i przez jego wykonanie.

Rzecz dzieje się w mroźny zimowy poranek na dworze ciemno jeszcze, ale dzień poczyna już szarzeć, a pierwszy brzask walczy z zimową nocą. Na niebie połyskują jeszcze gwiazdy; znać noc była pogodna, cicha; jak okiem dojrzeć, leży śnieg głęboki, którego białość widnieje daleko wśród mroku. W dali ciemny las. Zlewa się i mąci z ogólnem tłem no-

cy. O takiej godzinie w wioskach pieją koguty a w lesie, zwierz powraca z nocnego żeru, na legowisk. o Przed niewielki domek leśniczy zajechało kilka sanek: z koni bucha gorący opar: wąsate typowe postaci myśliwców wysiadają z sani, i podpierając się strzelbami spieszą do domku, którego okna sieją rzęsiste światło malujące różowo śnieg pobliski. Wśród mroku półświtu, skrzą się jaskrawo te okienka: znać w domku buzuje się potężny ogień. Cały obrazek pełen ruchu i charakterystyki. Właściwy ton całości uchwycony wybornie: kto kiedykolwiek sam brał udział w tego rodzaju wyprawach temu obraz pana Chel. stawi je jakby żywe we wspomnieniu przed oczy. Wiele tu prawdy, wiele rodzinnej poezyi i bardzo wiele poczucia natury. Ten brzask zimowy—ciemny, surowy: owe śniegi bielejące wśród mroku, ta cisza uśpionej natury, raźne światło w oknach domku, wszystko to pojęte i odczute znakomicie. Pan Chełmoński ma dwa potężne przymioty, które wsparte pracą, dającą biegłość techniczną, mogą zaprowadzić go wysoko. Przymiotami temi są po pierwsze: poetyczna pełna silnej fantazyi dusza, a po drugie: miłość natury, która prowadzi za sobą poczucie tejże natury i umiejętność chwytania jej, jak to mówią na gorącym uczynku. Ale żeby te przymioty mogły przynieść potężne owoce, potrzebną jest przedewszystkiem praca, która daje mistrzowstwo formy a zarazem chroni przez przyrodzoną sobie sumienność, od zbytniej wybujałości fantazyi, prowadzącej nieraz do cudacznej maniery. Pan Chełmoński powinien się przed innemi wystrzegać maniery, albowiem ślady jej widzieliśmy już w jego pracach. Dowodem tego, jest choćby ta para czarnych apokaliptycznych koni, którą widzieliśmy wiecznie powtarzającą się w jego obrazach. Wrażliwą wyobraźnią tego artysty, uderzała w parze owych koni, unoszących zwykle sanie i woźnicę, pewna chaotyczna siła i zgroza, ale tak siła jak i zgroza, które bez kwestyi mają swoję niekłamaną poezyję, zaprowadziłyby młodego artystę zadaleko, bo do przesady, bezładu, i co gorsza do niedbałości w malowaniu, która miała niby zastąpić szerokość pędzla, koniecznie w przedmiotach tego rodzaju wymagalną.

Drugi obraz tegoż artysty: *„Przed wójtem“* stawiamy znacznie niżej od poprzedzającego albowiem i myśl tu mniej poetyczna, i wykonanie słabe i nakoniec ślady manijery, o której wspominaliśmy przed chwilą, a których w *Przyjeździe na polowanie* niemasz wcale, tu występują dość wyraźnie.

Od zimowych krajobrazów Chełmońskiego przechodzimy do obrażka p. Gersona zatytułowanego: Od ślubu. Ileż tu światła i blazku! Dzień letni godzina popołudniowa, pogodna, ciepła, cicha: atmosfera przejasna, prawie tęczowa. Jesteśmy w jakimś zamku średniowiecznym, którego otwarte podwoje, dają widok, na wykąpaną w słonecznych promieniach okolicę. Na owem świetlistem tle, rysuje się młoda para, wracająca widocznie od ślubu: wchodzą właśnie w podwoje zamku, gdzie przyjmuje ich—czy klucznica stara, czy może matka pana młodego lub panny młodej—niewiadomo? Młodą parę widzimy z wnętrza zamku pod światło, dla tego prawie niepodobna rozeznać jej rysów. Zresztą w nadmiarze światła prawie, że rozpływają się postacie, tak dalece że zdaje nam się iż widzimy je przez jakąś jasną mgłę. Za niemi zaledwie dostrzedz można kilka niewyraźnych postaci weselnego orszaku. Całość trzymana w kolorycie niezmiernie pełnym ciepłym świateł i rozlicznych refleksów nadaje to jednak obrazkowi obok całej prostoty, charakter wysoce romantyczny zda się, że przedmiot wzięty z jakiejś legendy rycerskiej lub poetycznej romazy. Ubiory obojga nowożeńców, o ile je można dostrzedz również średniowieczne, stwierdzają jeszcze możliwość poprzedniego przypuszczenia.

O rysunku nie potrzebujemy zdaje się mówić: P. Gerson jest nadto wytrawnym artystą, aby się miał rażących błędów rysunkowych dopuszczać. Uderzyło nas jednakże to, że obok braku oryginalności i siły, jaki w większości utworów tego malarza daje się dostrzegać, główną wadę jego stanowi dziwnie nikły zimny i blady koloryt. Kolorytu tego nie umie się p. Gerson pozbyć nawet w obrazach historycznych, tymczasem w tym obrazku, o którym mówimy, nie tylko że wada ta nie występuje zupełnie, ale nawet dzieje się wprost przeciwnie. Świetność kolorytu i ciepło, oto cechy, które najpierwej uderzają oko widza. Powiedziałbym nawet, że postacie, nowożeńców, potrochu roztopione w świetle i stojące na dość odległym planie, służą tu tylko dla podniesienia romantyczności razem wziętych barw, świateł i ciepła, która to romantyczność zdaje się, główny cel i przedmiot obrazu stanowić.

d. c. n.

JAK NALEŻY ROZWIJAĆ UMYSŁ DZIECKA?

napisał

Aleksander Głowacki.

(ciąg dalszy)

Uwagi ogólne.

1) Ćwiczeń, za pomocą których wykrywa się własności przedmiotów, uczeń powinien robić jak najwięcej. Początkowo brać należy do tych ćwiczeń po cztery przedmioty (np. dwa przed. czerwone, dwa niebieskie), gdy zaś uczeń zrozumie o co chodzi, można brać po kilkanaście i kilkadziesiąt przedmiotów, tak aby liczba grup, jak i liczba składających je rzeczy była stopniowo coraz większa. W każdym jednak razie, w tej klasie ćwiczeń, uczeń powinien dopatrywać *tylko jedną* wspólną własność między kilkoma rzeczami.

2) Gdy uczeń pozna jakąś własność, należy: *a*) kazać mu wyliczać przedmioty posiadające tę własność, *b*) wyszukiwać nowe przedmioty obdarzone tą własnością, *c*) kazać mu rezultaty zapisywać, *d*) ćwiczenia często powtarzać nie na pamięć ale na okazach.

3) Gdy mowa o *kolorach*, uczeń powinien je farbami malować i wyszukiwać nowych kolorów (byle pojedyńczych) wszędzie: między minerałami, roślinami i zwierzętami.

4) Co do form, te należy rysować i modelować z wosku, gliny, ciasta, papieru, drzewa i t. d. Uczeń form podobnie jak kolorów powinien szukać wszędzie i naśladować je. Początkowo niech się zajmuje formami najprostszemi jak: foremne bryły geometryczne (kula, sześcian, czworościan i t. d.), — potem niech np. nie modeluje odrazu całego stołu lub stołka, ale: blat, nogi, poręcze i t. d. Niech nie rysuje ptaków lub zwierząt ssących, ale ich dzioby, pazury, kopyta, kości i t. d. Ze sprzętów i naczyń brać np. formy szklanek, słoików butelek, noży, gwoździ i t. d.

Formy bardziej złożone nastąpią później.

5) Co do wielkości i położeń, należy ucznia wprawiać w mierzenie na oko.

Naprzykład ten stół jest długi na dwa łokcie, ołówek na siedm cali; od tego drzewa do tamtego jest dwadzieścia kroków i t. d.

6) Dźwięki i szmery niech o ile możności odtwarza i uczy się dobrze oceniać.

7) Nauczyciel powinien pilną zwracać uwagę na błędy wynikające z pośpiesznego sądu, (patrz: smak, powonienie, i słuch) i powinien je objaśniać, uczeń zaś notować.

B). Badanie Zmian.

Ponieważ nasz wychowaniec poznał już co znaczą własności, potrafi wyliczyć te z nich na które najczęściej w życiu potocznym zwracamy uwagę, a wreszcie sformował sobie jaki taki sips ich, zdawałoby się więc, że przy badaniu zmian, dość byłoby uczniowi wskazać jakąś własność, a następnie żądać wyjaśnienia, o ile się takowa zmieniła.

Na pozór nie ma nic prostszego nad to wznoszenie drugiego piętra na pierwszem, opierania studyjów dalszych, na wiadomościach już zdobytych; a jednak, przynajmniej w tej chwili, postępowanie podobne byłoby grubym błędem.

Uczeń nasz przez cały ciąg trwania studyjów, przez cały ciąg zapoznawania się ze światem zewnętrznym i wewnętrznym, powinien ustawicznie zwracać uwagę na *źródło wiedzy, na zmysły.* Jak astronom przystępując do obserwacyi przedewszystkiem skieruje uwagę na lunetę, fizyjolog na mikroskop, chemik na odczynnik za pomocą którego ma bliżej poznać dany przedmiot, tak uczeń nasz przedewszystkiem winien wybrać jakiś zmysł i zwrócić na niego całą uwagę, a następnie badać, pamiętając: jakim narzędziem bada? co za pomocą niego poznać może? i, jakie mu jeszcze narzędzia do użycia pozostają?

Tylko taki tryb postępowania, może zrobić wychowańca naszego t. z. „człowiekiem przytomnym,“ a właściwie dobrym obserwatorem i ustrzedz go od owego więcej lub mniej przyjemnego zakłopotania (właściwie lekkiego pomieszania zmysłów) jakiego doświadcza większość ludzi spotkawszy nieznany sobie przedmiot, do zbadania którego nie umieją się wziąść i o którym nic nie potrafią powiedzieć w rezultacie.

Potem ostrzeżeniu przechodzę do dalszego wykładu.

N. Zamknij oczy i powiedz, któremi teraz zmysłami możesz, a któremi nie możesz obserwować?

U. Nie mogę wzrokiem, mogę: smakiem, powonieniem, słuchem dotykiem.

N. Zamknij oczy i powiedz, który ze zmysłów twoich jest czynny?

U. Wzrok—nie, słuch— nie i t. d. Dotyk jest czynny, bo czuję że siedzę i że mam na sobie ubranie.

N. A w tej chwili kiedy to mówię?

U. Słuch, bo słyszę co mówisz.

N. Znowu zamknij oczy i mów co będziesz czuł?

U. Zapach siarki płonącej, zapach tytuniu, zapach octu, smak słony... słodki, kwaśny; pukanie, dzwonienie...

N. To co oznaczasz wyrazami: pukanie, smak kwaśny, zapach siarki i t. d. nazywa się *wrażeniem*. Wylicz inne wrażenia?

U. Czuję ból, czuję ciepło, zimno, gorycz, usłyszałem grzmot, zobaczyłem błyskawicę i t. d.

N. Będę ci teraz dostarczał rozmaitych wrażeń, a ty nazwij każde z nich i wymień zmysł odpowiedni.

U. Zapach octu— oddziaływa na powonienie, ukłucie—na dotyk, zimno na dotyk, błyśnięcie lustrem—na wzrok, trzask zapałki—na słuch... ciemność— na wzrok.

N. *Ciemność* nie jest wrażeniem, ale *brakiem wrażeń* wzrokowych. Zwracaj teraz uwagę po kolei na każdy zmysł i nazywaj brak odpowiednich mu wrażeń.

U. Powonienie—zapach octu — brak zapachu. Smak—słodycz — brak smaku. Dotyk —opór—brak oporu; ból—brak bólu. Słuch, dzwonienie—cisza. Wzrok—światło— ciemność.

N. Zwróć uwagę na zegar, przysłuchaj mu się i powiedz jakie od niego odbierasz wrażenia słuchowe.

U Kołatanie.

N. Zamknij oczy. Jakiego wrażenia doświadczasz teraz?

U. Czuję zapach octu... ciepło ręki...

N. Masz zatem trzy przedmioty, które wywołują wrażenia: rękę, ocet i zegar i trzy wrażenia: zapach octu, kołatanie i ciepło. Powiedz że mi jaka jest różnica między *wrażeniami a przedmiotami które je wywołują?*

U. Różnica jest ta, że wrażenia przemijają, zmieniają się nie ustannie, zaś przedmioty trwają i wówczas gdy od nich nie odbieramy wrażeń. To samo co powiedzieliśmy o przedmiotach, odnosi się do własności: *własności trwają, wrażenia od nich odbierane przemijają, zmieniają się.*

Patrząc na ścianę nie odbieram od cegły, która jest pod tynkiem, ani wrażenia chropowatości, ani twardości, a przecież mimo to, cegła jest twarda i chropowata.

N. Niezależnie od ciągłej zmiany naszych wrażeń, zachodzą niezliczone zmiany w samych przedmiotach i do nich teraz przejdziemy.

Patrz na stół, zapamiętaj co widzisz i opowiedz co się tu trafi.

U. Na stole *były*: ziarno grochu, woda w szklance i papier. Groch wyrzuciłeś za okno, wodę wypiłeś, papier spaliłeś i teraz ich nie ma.

N, Coś zrozumiał z tego procesu?

U. *Byt* i *nie byt*. Szklanka była i jest, papier był lecz teraz go nie ma.

N. Z tego co się przytrafiło z grochem, wodą i papierem, łatwo także można poznać, że pojęcia o bycie są względne. Groch np. był i jest jeszcze, z tą różnicą że był na stole a teraz jest za oknem, zmienił więc tylko miejsce; woda podobnież, ponieważ ze szklanki przeszła do mego żołądka. Sam tylko papier stracił byt na dobre, bo go wydobyć z popiołu (jak np. groch z za okna) nie można.

Teraz wylicz mi przedmioty, które były np. w tym pokoju lecz których teraz nie ma, a zarazem powiedz, które z nich na dobre byt straciły?

U. Był ojciec, teraz go nie ma bo wyszedł; była róża, lecz teraz jej nie ma bo straciła byt zupełnie: uschła i zgniła.

N. A wylicz przedmioty, których nie było w tym pokoju, a teraz są?

U. Nie było krzesła, przyniesiono je niedawno od stolarza i teraz jest. Nie było tego kwiatu teraz się rozwinął i jest.

N. Przypatrz się tym dwom szeregom grochu:

o o o

o o o

Czy one różnią się czem od siebie?

U. Niczem: kolor, forma, wielkość, ilość ziarn są jednakowe.

N. A teraz czy są podobne?

o o o

o o

U. Nie, bo zmieniła się ilość ziarn w drugim szeregu: pierwej było trzy, teraz zaś jest dwa.

N. A teraz czy są podobne?

o o o o

o o

U. Tem bardziej nie są podobne, bo w pierwszym znowu szeregu zmieniła się ilość, tak, że zamiast trzech ziarn, mamy obecnie cztery.

N. Nazwij pierwszą i drugą zmianę ilości.

U. Kiedy z trzech robi się dwa, wówczas ilości ubywa; kiedy z trzech robi się cztery, wówczas przybywa. Ilość zatem zmienia się dwoma sposobami: przez ubytek lub przybytek. d. c. n.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XIX.

Zbłąkany wśród stepu.

Był to przyjemny spoczynek, nie miałem już przykrych snów, a raczej tylko takie o których zapomina się zaraz przy ocknięciu.

Kiedy się obudziłem słońce w całej majestatycznej pełni błyszczało na niebie. Spojrzałem po stepie. Pusto... nigdzie ani śladu żywej duszy dopatrzeć się nie było można; Moro tylko uwiązany na długiej lince, skubał spokojnie trawę.

Boże miłosierny pomyślałem sobie, jakże mądrość Twoja na każdym widnieje kroku... Tu gdzie człowiek, pan stworzenia, umrzeć może z głodu i pragnienia, zwierzę upośledzone znajduje sposobność do życia.

Zbliżyłem się nad brzeg przepaści i spojrzałem w jej wnętrze. Otchłań to była piekielna, ściany jej tylko były tu mniej spadziste. Po skałach —łańcuch niby jeden formujących. człowiek acz nie bez trudności mógł był jeszcze dostać się na brzeg przeciwny, ale konia tam przeprowadzić było niepodobieństwem.

Spojrzałem w stronę w której przepływał strumień i dostrzegłem go niebawem. Wody po ulewie nocnej zebrało się dosyć, ale jakże tu jej dostać!.. Wróciłem po karabin i poszedłem wzdłuż przepaści, w nadziei że ptaka jakiego przynajmniej uda mi się upolować. Przekonałem się w krótce że próżne to były marzenia i zawróciłem na miejsce, na którem noc przespałem.

Ubrałem konia i zabierałem się w drogę z powrotem, ale jak znowu wydostać się na pewną drogę...

Wczoraj wieczorem nie troszczyłem się oto— sądząc że trop Mora będzie najlepszym drogoskazem, ale ulewa wypłatała mi figla. Przebyłem znaczną przestrzeń po gruncie twardym na którym ślady kopyt bardzo tylko niewyraźnie zaznaczyć się mogły—deszcz więc zniszczył je z kretesem. Więc na nic wczorajsze rachuby! Nie liczyłem na jakąkolwiek trudność z tej strony, teraz więc jakaś trwoga mnie ogarnęła. Co tu począć?.. Wśród stepów niezmierzonych nie wiedzieć drogi, toć to to samo co być zgubionym. Wiadomo że wielu najdzielniejszych jeźdźców przepadło w ten właśnie sposób. Do przebycia kilkudziesięciu milowej przestrzeni, potrzeba kilka dni czasu—a tu każdy dzień, godzina prawie każda grozi śmiercią niechybną. Głód i pragnienie muszą zrobić swoje—muszą sprowadzić następstwo konieczne a nieubłagane.

Najpierw tracisz siły, potem opanowywa cię jakieś niedające się opisać przerażenie... a potem jeszcze, straszna cię rozpacz ogarnia. Ta rozpacz, to zwątpienie, potęguje się co chwila—bo zaledwie zdążyłeś pomyśleć żeś na dobrą wybrnął drogę—spostrzegasz że błądzisz po manowcach. Zawracaj ale gdzie i dokąd. Nie ani opisać ani zrozumieć nie można co znaczy zbłądzić na pustym stepie!..

Znałem się dawno z wielkiemi równinami, ale na tym tu stepie pierwszy raz byłem i to zmęczony głodem, usychający z pragnienia.

Nagłe zniknięcie białego konia lubo z tego niby już jasną zdałem sobie sprawę, teraz na osłabionego fizycznie i moralnie dziwne wywierało wrażenie. Nie.... myślałem—w tem co się stało, nie czysta musi być sprawa.

Resztką siły woli potrafiłem nareszcie zapanować trochę nad sobą. Nie ma co, wmawiałem w siebie, nie ma co tracić czasu na medytacyje i lamenty. Pomóż sobie a Bóg ci pomoże, więc naprzód w imię tej prawdy. Udam się przed siebie prosto a przed skwarem południa może zdążę dostać się do lasów. Nie ocali mnie to jeszcze zapewne, boć step nagi nie jest groźniejszym od stepu porosłego drzewem, można i tu błądzić do nieskończoności, można i tu nie spotkać się z niczem takim co by dało możność uspokojenia głodu, przygaszenia pra-

gnienia. Ale trudno, nie ma co. Wsiadłem na koń i raz jeszcze rzuciłem okiem do koła w nadziei czy niedostrzegę gdzie drogi...

ROZDZIAŁ XX.

Biesiada na stepie.

Kiedy tak rozglądałem się na wszystkie strony, jakieś coś osobliwsze uderzyło moję uwagę... To coś to były zwierzęta jakieś ale jakie, dla tego że znajdowały się dosyć daleko, rozpoznać nie byłem w stanie. Często zresztą wśród stepów i kształt i wielkość przedmiotów przybiera złudne pozory. Nieraz wilka wzięto za konia, a małego zwyczajnego kruka śpiącego na grudce ziemi, za bawoła poczytano. Tłomaczy się to szczególniejszem załamywaniem promieni światła, i trzeba bardzo wprawnego oka, oka doświadczonego łapacza, aby te spotęgowanej wielkości kształty, do właściwych sprowadzić rozmiarów.

Zwierzęta jak już wspomniałem znajdowały się dobrze daleko, w stronie jeziora i prawdopodobnie po drugiej stronie przepaści. Porachowałem je i pięć naliczyłem postaci. Jak widma jakie poruszały się one po stepie.

Nie wiem dokładnie co, to jednak wiem na pewno, że zaszło coś, co na chwilę od tych postaci wzrok mój w inną oderwało stronę. Gdy spojrzałem za niemi na nowo, nie było ich wtem samem miejscu, ale za to na samym brzegu jeziora, zobaczyłem pięć ładnych stworzonek, zobaczyłem pięć antylopek... Popodnosiły głowy z miną oznaczającą że po długim biegu, tu myślą dłużej zatrzymać się nieco. Że pięć ich było, nie ulega wątpliwości, iż one to były temi stworzeniami które poprzednio w oddaleniu, widziałem po drugiej stronie przepaści.

Ten widok zaostrzył mi apetyt ogromnie. Jakby tu z jednę choć dostać?.. Ciekawe to stworzenia i zpewnością ciekawość sprowadziła je tutaj. Spostrzegły mnie i mojego konia i chciały bliżej się nam przypatrzeć, straciły jednak odwagę i zatrzymały się dosyć daleko.

Dzieliła nas od siebie przepaść ale gdybym zdołał przynęcić je na tę stronę brzegu — karabin zrobił by swoje.

Zsiadłem z konia, uwiązałem go na lince, i wysilałem się na sposoby któreby zwróciły ich uwagę,—daremne to jednak były wysiłki— antylopy ani myślały oddalić się od wody.

Ale jeszcze jeden przyszedł mi koncept do głowy... Mój płaszcz jaskrawy musi ich zaciekawić przecie!..

Wyjąłem stempel od karabina i jednym końcem przymocowałem do lufy—drugi podtrzymywałem ręka. Na tej zaimprowizowanej poprzecznicy rozpiąłem płaszcz i ukryty po za tą zasłoną, z ostrożnością jak najściślejszą, starałem się posuwać naprzód. Od udania się zasadzki zależało moje śniadanie czyli życie moje zależało. Proszę sobie wyobrazić radość moję gdy spostrzegłem że plan mój ma jakie takie widoki powodzenia. Antylopa lubo jest najlękliwszem, jest przecie i najciekawszem na świecie bożym stworzeniem. Najlżejszy, prawie niedosłyszany szelest, płoszy ją i odpędza—ale gdy coś nowego zauważy, ciekawość pochłania bojaźliwość, antylopa zbliża się pod sam przedmiot nieznany i przypatruje mu się wzrokiem pomieszanym.

Jaskrawe barwy materyi to przedmiot niezwykły wcale, więc moje pięć ciekawskich, poczęły się kręcić nad brzegiem przepaści i nareszcie z coraz widoczniejszem zaciekawieniem, przypatrywać się szczególniejszemu dla siebie zjawisku.

To zbliżały się ku mnie, to znowu oddalały z powrotem, ale zaciekawiały się coraz bardziej,—zamieniały z sobą jakby narady jakieś, wciągając powietrze i potrząsając małemi pyszczkami.

Szczęściem i wiatr dopisywał mi przecie — wiał bowiem w moję stronę—nie mogły mnie więc zwietrzyć ciekawskie — a bardzo łatwo rozpoznają woń ludzką i jakby instynktownie odczuwają strzelca.

Piątkę którą pragnąłem podejść, składał samiec i cztery samice. Samca poznałem po wyższej szyi i rozłożystych nogach — oznace, której słabsza płeć nie posiada. Ten samiec był przewodnikiem gromadki—on posuwał się naprzód, za nim zwolna postępowały w równej linii uszykowane samice.

Skoro znowu antylopy przybliżyły się do mnie na sto jakie kroków, zauważyłem że mój karabin bije już na tę metę— a że samiec był najbliżej, do niego postanowiłem wymierzyć.

Wycelowałem w jednej chwili i spuściłem kurek...

Skoro tylko dym się rozszedł, z radością niewypowiedzianą spostrzegłem pana samca wyciągniętego na stepie w ostatnich podrygach.

Ku memu niepojętemu zdziwieniu ani jedna ze czterech towarzyszek nieboszczyka nie ulękła się wystrzału, wszystkie zdumione tylko, przypatrywały się upadkowi swojego wodza, nie pojmując bynajmniej przyczyny.

Miałem ochotę nabić broń powtórnie, ale nie ostrożnie powstałem jakoś—i spostrzedz się dałem. To dopiero przeraziło je na dobre, zerwały się, zawróciły i popędziły jak wiatr.

Przepadły w jednem mgnieniu oka.

Ale mniejsza oto—teraz chodzi o co innego—chodzi o pokonanie nielada trudności. Jak dostać się na drugą stronę przepaści, boć na tamtej drugiej stronie, leżała antylopa zabita.

Zacząłem się przyglądać czy jakimkolwiek sposobem nie uda mi się przedostać—i dostrzegłem że uda się to lubo nie bez pewnych trudności.

Uwiązawszy znowu konia położyłem karabin w miejscu które przedtem służyło mi za łóżko, i zabrałem się do przebycia przepaści, z nożem myśliwskim w ręku. Karabin uważałem za rzecz zbyteczną, mogącą mi niepotrzebnie zawadzać.

Dostawszy się szczęśliwie na dno rozpadliny, począłem wdrapywać się na brzeg przeciwny bardziej jeszcze spadzisty, ale porosły krzakami pnącemi się po skałach które ułatwiały znacznie mój pochód. Nie bez pewnego zdziwienia zauważyłem, że drogę którą przebywałem—przebywali już przedemną ludzie czy zwierzęta, ziemia bowiem nagromadzona na brzegu skały była jakby udeptaną, a miejscami były na skale jakby podrapania jakiegoś ślady.

Nie bardzo zastanawiałem się nadtem. Głód ma swoje prawa, otóż myślałem tylko o tem, co za bal sobie wyprawię.

Po wysileniach ogromnych wydobyłem się nareszcie na wierzch otchłani, na łąkę i wkrótce stanąłem nad zwłokami antylopy.

Otworzyłem nóż, i zabrałem się do spełniania rzeźniczej funkcyi.

Gdzie mi tam umierającemu z głodu, myśleć było o gałązkach—ogniu—pieczeniu,—dałem pokój temu wszystkiemu i zabrałem się do spożywania na surowo mięsa.

Po zaspokojeniu pierwszego głodu, stałem się jednak więcej znowu wymagającym i pomyślałem, że lepiej będzie upiec antylopę. Z zamiarem tedy uzbierania paliwa zamierzałem powrócić do przepaści, gdy w tem wzrok mój padł na przedmiot, który odebrał mi wszelkie zachcianki.

Zadrżałem przerażony do głębi duszy...

ROZIAŁ XXI,

Niedźwiedź szary.

Przedmiot który nabawił mnie takiego przestrachu był zwierzęciem najstraszniejszym ze wszystkich mieszkańców stepu. Był to ogromny niedźwiedź szary, nie tyle jednak trwożyła mnie jego wielkość, ile dzikość i zawziętość.

Znałem się już dawniej z tem stworzeniem— znałem dobrze jego naturę i obyczaje. Wiedziałem co to znaczy ten włos długi i najeżony, czoło wązkie, szeroka paszcza, żółtawe oczy, ogromne zęby do połowy przysłonięte wargami a przytem długie spiczaste pazury...

Niedźwiedź którego ujrzałem, to najwścieklejszy w całem tego słowa znaczeniu bestyja.

Gdy ją ujrzałem, gdy spostrzegłem potwora jak wyłaził z przepaści, domyśliłem się że przebywał tą samą co ja przed chwilą drogą, i że rysy jakie widziałem był na skale, to ślady pazurków jego.

Wydobywszy się na płaszczyznę postąpił parę kroków naprzód, potem przystanął podniósł się na tylnych łapach, i mruczał jakby rozgniewany że się ktoś znalazł niedaleko od jego legowiska. W tej wyprostowanej postawie trzymał się przez czas pewien, to skrobiąc się po łbie przedniemi łapami, to wywijając niemi i w prawo i w lewo.

Gdybym był na koniu, niewiele więcej robiłbym sobie z niego, jak z tego oto ślimaka co pełza po trawie.

Niedźwiedź nie potrafi dogonić konia, ale... byłem pieszo, jakkolwiek szybko biegałem...

Przypuszczać że mnie potwór ten nie zaczepi, byłoby to rachować na nieprawdopodobieństwa, tym więcej że znałem dobrze charakter mojego nieprzyjaciela. Wiedziałem że dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto, niedźwiedź popielaty przybiera pozycyją atakującą, wiedziałem że żadne zgoła zwierze amerykańskie nie naraża się z nim na walkę, wątpię czy nawet lew afrykański, utrzymałby swoję chwałę, w potyczce z tą dziką potęgą.

Człowiek unika go zawsze, chyba że ma za sprzymierzeńca przyjaciela konia, a i w takim razie jeżeli droga nie jest zupełnie swobodna, ostrożny łapacz daje pokój staremu Ephraimowi.

Biały strzelec ceni niedźwiedzia wyżej jak dwóch wojaków indyjskich, gdy indyjanin uważa zabicie takiej bestyi za ważną w życiu swojem epokę.

Najwaleczniejsi z plemion Indyjskich, naszyjnik z zębów niedźwiedzich, otrzymują jako oznakę honorową, a oznakę tę może nosić ten tylko, kto sam własną ręką zabił z jednego takiego.

Co do niedźwiedzia, ten nie boi się żadnego przeciwnika, rzuca się na największe zwierze spotkane, a skoro go pochwyci—jednem uderzeniem zabija. Potężną swoją łapą zdolny jest, niby siekierą rozpłatać boki i powlec dosyć daleko ogromnego bawoła.

Rzuca się na człowieka czyli go pieszo czy konno napotka, i nieraz widziano jak dwunastu doświadczonych strzelców, pierzchało przed jego wściekłym atakiem.

Sześć kul wpakuj mu w boki a nic mu nie zrobisz, strzał tylko w czoło lub w serce może go śmiertelnie powalić.

Z bestyją obdarzoną taką siłą i taką krwiożerczą naturą, spotkanie nie może być bezpiecznem. Gdyby obok tego dano mu jeszcze szybkość lwa lub tygrysa, miejsca w których przebywa, byłyby całkiem niedostępne dla człowieka. W porównaniu z koniem bieg jego jest powolny, a obok tego i to jeszcze szczęście niemałe, że nie może wdrapywać się na drzewa, chociaż dosyć lubi przebywać po lasach.

Można więc wystawić sobie co się działo ze mną w chwili, gdym się znalazł w obecności jednego z największych i zapewne najdzikszych okazów tego rodzaju, i to na czystem polu, sam jeden, pieszo i prawie bez broni.

Ani krzaczka po za którym mógłbym się ukryć, ani drzewa na które mógłbym się wdrapać... Nie miałem żadnego sposobu ucieczki i żadnego środka obrony, bo nóż myśliwski oto i wszystko co miałem przy sobie. Karabin zostawiłem po drugiej stronie przepaści, jakże więc dostać się do niego?.. Gdybym starał się cofać do rodzaju przejścia prowadzącego na dół pochyłości, popełniałbym szaleństwo, lubo bowiem szary niedźwiedź nie jest zdolnym wdrapać się na drzewo, dzięki jednak ogromnym pazurom swoim, prędzej odemnie szedłby po ścianie przepaści, i uchwyciłby mnie natychmiast, tembardziej że znajdował się tuż przy przejściu, dobrowolnie więc sam lazłbym w jego objęcia.

Wszystkie te uwagi jak błyskawica przemknęły po mojej głowie i przekonały mnie, jak okropnem było położenie moje... Nie pozostawało nic jak walka na noże...

Gdy spostrzegłem że niedźwiedź zamierza posuwać się ku mnie, rozpacz dodała mi odwagi, stanąłem tedy na przeciwko i czekałem na zaczepkę...

Pamiętałem opowiadania jakoby czasami udawało się strzelcom zwyciężyć popielatego niedźwiedzia, jedynie myśliwskim nożem, a chociaż nie bez długiej i zaciętej przychodziło to walki, dodawało mi jednak jakiej takiej otuchy...

Nawet bo czego to strach nie może, nawet tedy przypomniałem sobie, żem czytał kiedyś w jakimś dziełku—iż człowiek bardzo prędko ukończyć może walkę z szarym niedźwiedziem, byleby miał jednę rękę zupełnie wolną i tą zdołał go uchwycić za gardło w miejscu w którem się język zaczyna. Silne naciśnięcie palcem tego delikatnego miejsca wystarcza żeby zwierze dostało spazmów, które go niebawem czyniły niezdolnym do najlżejszego oporu.

Wkrótce przeciwnik mój porzucił dotychczasową pozycyję, a opadając na cztery łapy ze wściekłym rykiem i paszczą otwartą rzucił się prosto ku mnie.

Postanowiłem czekać na pierwsze natarcie, ale gdy się zbliżył nieco, gdy zobaczyłem lepiej jego wielkość, jego żółtawe zarzące się oczy i ogromne zęby, zmieniłem plan i zacząłem co sił starczyło uciekać....

Postanowiłem ucieczkę, sądząc że zabita antylopa zatrzyma na czas jakiś niedźwiedzia, a ja zyskam tym sposobem na czasie, oddalę się trochę a może nawet i umknę, w przeciwnym bowiem wypadku, mógłbym pogorszyć tylko moje położenie...

Niestety spostrzegłem i to bardzo prędko że mnie zawiodły rachuby moje, niedźwiedź nie zatrzymał się przy porzuconej dlań pastwie, obejrzałem się i zobaczyłem że pospieszał za mną nie na żarty.

Dobry mam charakter w nogach, ale co poradzi szybkość w obec ciągłych zawad i takiego przeciwnika strasznego?..

Pozbawię się bezpotrzebnie sił i będę mniej jeszcze zdolnym do walki do której, bądź co bądź koniecznie przyjść będzie musiało...

Toć już lepiej się zawrócić i stanąć przeciw nieprzyjacielowi...

Byłem prawie na to zdecydowanym, gdy coś nagle błysnęło mi przed oczami. Nie namyślając się co to być może, skierowałem się w tę stronę i dostałem się nad brzeg jeziora, w wodach którego przeglądało się słońce.

Jakaś nadzieja przemknęła mi po głowie, było to coś niby wątła gałązka, tonącemu podana.

Dzika bestyja jak to mówią przypierała mnie do muru, jeszcze chwila a musimy pochwycić się za barki...

Nie, nie dam się pomyślałem sobie—rzucę się do wody, w wodzie toż będzie dla mnie szansa nielada, może ocalę się pływając.

I skoczyłem w jezioro bez namysłu...

Na brzegu woda była płytka, sięgała mi zaledwie do kolan, szedłem dalej żeby się dostać na środek, i już po pas się zanurzyłem prawie.

Obejrzałem się strwożony, niedźwiedź stał nad brzegiem i widocznie nie miał ochoty pójścia za moim przykładem. To mnie zastanowiło trochę, bo wiedziałem że woda nie zastrasza bynajmniej takiego jegomości, wiedziałem że potrafi dobrze pływać, wiedziałem że niedźwiedzie przebywają nieraz głębokie jeziora a nawet bystro płynące rzeki. Nie mogłem odgadnąć co mu było na przeszkodzie, a co prawda nie bardzo starałem się odgadywać tego w tej chwli, — myślałem tylko o jak najdalszem odbiciu się od brzegu i szedłem w pław prawie aż do połowy jeziora, gdzie zatrzymałem się w wodzie po samą szyję. Nie mogłem iść dalej trzeba było już płynąć, więc stanąłem spokojnie, zwróciwszy się twarzą do przeciwnika.

Wsparty na tylnych łapach, w tej postawie przypatrywał mi się uważnie, ciągle jednak nie okazując żadnej chęci rzucenia się do wody.

Naraz rzucił się znowu na cztery łapy i zaczął biegać dokoła, szukając dogodniejszego miejsca dla dostania się do wody.

Zaledwie dzieliło nas kroków dwieście, bo staw cały nie miał więcej nad drugie tyle długości, niedźwiedź więc mógł łatwo dostać się do mnie. Dla niewiadomej przecież przyczyny nie rzucał się do wody, lubo już z pół godziny uwijał się przy brzegu. Od czasu do czasu oddalał się na krótko ku łące, ale zaraz powracał śledząc mnie bacznie i widocznie nie chcąc stracić mnie z oczów. Miałem nadzieję że oddali się i przejdzie na drugi koniec jeziora, co da mi tymczasem możność wydostania się do wąwozu, ale gdzie tam, kręcił się ciągle w tej samej pozycyi którą zajął od początku, jak gdyby odgadł mój zamiar. Nie podobna było przewidzieć jak długo trwać będzie oblężenie, ale znając naturę niedźwiedzia można było być pewnym, że przeciągnie się to dosyć długo.

Tak się też stało rzeczywiście i zaczynałem tracić nadzieję a z nadzieją odwagę...

Woda tak była zimną że kostniałem już prawie, ale nie ruszałem się z miejsca, nie śmiałem posunąć się na krok jeden. Obawiałem się nawet poruszyć aby rozgrzać się trochę, ażeby nie rozjątrzyć mojego dzikiego wroga—ażeby go nie zachęcić do rzucenia się za mną. Trzęsąc się z zimna i obawy stałem jak najspokojniej. Cierpliwość dobrze mi posłużyła, niedźwiedź znudzony oddalił się trochę, zobaczyłem że się nad czemś zatrzymał ale nad czem tego nie mogłem wiedzieć. Gdy po chwili podniósł głowę w górę, zobaczyłem wiszące mu przy szczękach szczątki biednej antylopy, ciągnął je po za przepaść a po chwili zniknął gdzieś wraz złupem swoim.

d. c. n.

MIEJSKIE I PRZEDMIEJSKIE
OBRAZY LWOWA.

(Szkice z bruku, pięter, parterów i suteryn, zarywające niekiedy i o posadzkę woskowaną)

Rysował

Teofil Szumski.

Często uśmiech tylko, i to uśmiech złośliwy bywa odpowiedzią na słowa w piosence zawarte, ale też nie raz i spojrzenie, które mówi: nigdy kochać nie przestanę!

Jeżeli tę niemą serca mowę pojął człowiek a właściwie kandydat na człowieka, który szuka tylko „stancyi i wiktu"—to smutny koniec komedyi. Wówczas panna zapytuje i powtarza w duchu: ,,pocóżeś kochała?" O tak, pocóżem kochała.

Nie brak i spekulantek, bo gdzie ich nie ma i co by to było, gdyby doświadczenie robiło ludzi przezornemi jedynie i lepszemi? Był-

by raj na ziemi a tymczasem mamy raj utracony... Sceny dopiero wtedy, gdy się zejdą spekulantki, literatki—(tak bo są i literatki) i gospodynie. Panna, tej sfery literatka zna: prócz tytułu powieści, nazwisko autora i rozumie co znaczy wyraz „autor“. Każdy świstek, zrzynek papieru zadrukowany. w kramiku, interesuje ją. Często staje na jednej nodze i pochylona nieco, naprędce przebiega oczyma pismo to, urywek jakiś; — jest to instynktowe kształcenie się. Od tego przechodzi do innych szpargałów przeznaczonych pod masło i na pieprz. Mama dziwuje się temu, kuzynki panny gorszą, gosposie ruszają ramionami nie pojmując, by człowiekowi przyszło co z czytania jakichś szpargałów.

Wszystko tutaj, nietylko w tym miniaturowym światku odnosi się do zapytania: co mi z tego przyjdzie? I wszystko też, co nie obiecuje owoców rychłych —w zaniedbaniu.

Panny gospodynie lubią lekturę taką, jak „Podróże Guliwera“ i zresztą z nudów czasem pytają: *co pisało w gazetach?*

Podczas długich wieczorów zgada się i o tym, co kto czytał.

— Kiedyś tu—odzywa się panna Dorota (gospesia) czytałam przypadkiem *Na pochyłości*, i bardzo mi się podobało.

— Czyjeż to? zagaduje literatka.

— A to pana Buraczka.

— Co! —woła zdumiona literatka, znająca i pamiętająca nazwisko Kraszewskiego, Korzeniowskiego i Dzierzkowskiego—co? Znam tylu (!) autorów, ale o żadnym Buraczku nie słyszałam jeszcze.

— E, autor czy nie autor! Pan Buraczek jest uczciwym człowiekiem! — mówi urażona gosposia.

— To znasz go nawet?

— Jakżebym znać go nie miała, gospodarza od którego wynajmujemy mieszkanie.

— I to on pisał tę książkę?

— A! w imię Ojca i Syna! woła panna Dorota—czyż to pisane? to przecie druk, czy tego nierozumiesz? Wydrukowali w drukarni i jest.

Literatka wznosi ramiona, lituje się w duchu nad ciemnotą przyjaciołki, a Dosia szepce po cichu:

— Tej dziewczynie przewróciło się już do reszty w głowie!

Ale samouczka nie da za wygranę. Stara się wyjaśnić nieporozumienie, ostrożnie, gdy jest kto obcy, otwarcie kiedy w domu same tylko panny. Jeżeli nie zna dzieła, o którego tytule dowiedziała się—nieszczęśliwy wówczas pan Karol, pan Kalasanty czy pan Michał: musi postarać się o książkę, która była przedmiotem sporu i przyczyną zaciekawienia. Kiedy trudno pożyczyć u znajomych, biegają panowie po czytelniach... Chciwej pokarmu dla duszy literatce przyznać trzeba tę zaletę, że odebrawszy upragnione dzieło nie zaczyna od środka, od końca lub ciekawszego rozdziału, ale idzie jej przedewszystkiem o autora.

Gra tu wprawdzie i próżność niepoślednią rolę, gdyż w danym razie pochwalić się można, że się czytało autorów, których wyliczyć nazwiska, to już przecie coś znaczy; ale z drugiej strony to prawda, że taka biedna, wzdychająca za światłem literatka, mogła się była stać pożytecznym członkiem społeczeństwa.

Mogła była, gdyby... Gdyby w tak zwanych w Austryi szkołach *normalnych*, uczono czegoś pożytecznego. Przez cztery lata, to jest od siódmego roku uczą tam dzieci czytania i pisania i na odwrót, a także trochę rachunków, trochę religii i trochę języka niemieckiego... A z tego wszystkiego po odrobinie, nie pozostaje dziecku w jedenastym roku życia nic, prócz umiejętności czytania i to jakiego! Cztery lata zmarnowane— a później? Później nie ma skąd, nie ma o czem posyłać do szkoły czy do *pensyjonu* i zaczyna się edukacyja doświadczalna.

— Czemu nie weźmiesz się do jakiej roboty?— krzyczą wówczas na dziewczynę dwunastoletnią popychaną w domu, nawet w domu rodziców.

— Przynieś no mi nici z kramiku! idźno po wodę!.. pomyj naczynie!... ucz się, ucz czego, bo będziesz żydom wodę nosić...

Zgroza przejmuje zaglądnąwszy w skromne mieszkania tej klasy bezimiennej, która składa się z wdów po urzędnikach, zbankrutowanych kupców, pomocników handlowych... i t. p.

Patryjarchalizm dawny, wszczepiona tradycyjna moralność poszły na marne, a wobec nowych warunków życia i potrzeb większych, staje prawie, prawie całe społeczeństwo — bezradne, bezładne.

Co przyprawia o śmieszności ludzi niezamożnych a chcących udawać przed światem dostatek? Z pewnością nie to, że dzieci ich pragną czytać te same książki, które czytają dzieci ludzi zamożnych, nie to. że pragną rozrywki szlachetniejszej, nie to, że jakimś niekiedy doprawdy cudem z tych zaniedbanych dzieci stają się ludzie, dźwignieniem samouctwa i wolą olbrzymią.

Śmiesznością jest na mylnej zasadzie skrzywionej, oparta chętka zbliżenia się, jeźli nie pobratania z tak zwanemi, „lepszemi, znaczącemi coś w świecie.“ Więc najprzód suknią, atłasem, aksamitem, gdyż jak mówi przysłowie: panie atłas, szanują was, a takie w istocie tylko łudzenie siebie— a oszukiwanie świata, rujnuje rodzinę.

Szczęściem, trafem bardzo pomyślnym można nazwać wypadek, jeżeli w łonie wielu podobnych rodzin, panny szczególniej, potrafią sobie zapewnić los pracą choć ciężką, ale uczciwą.

„Dziewczyna“, jak mówi świat gardzący ulicą—„literatka“ jak ją z pobłażliwą ironiją przezywa najbliższe jej otoczenie, to dziecko niezwykłe.

I ona nie znała w latach dziecięcych nic prócz garkuchni albo ciasnej izdebki, i ona pomywała, posługiwała, nosiła wodę, chodziła do szkoły w podartych trzewikach— a dziś nie poznacie jej—gotówby ją nawet świat złotej młodzieży, nazwać już nie dziewczyną ale panienką. I teraz jeszcze, pomimo, że ma już pojęcie, jakimby świat i los jej być mógł, musi pomagać matce wieczorem w pracy ciężkiej, musi wymyć podłogę, oczyścić kuchnię i t. p. Przez cały dzień ciężko pracuje igłą, a jednak uśmiecha się, usta jej nie blade otwierają się chętnie do niewinnego żartu, w niedzielę idzie „na tańce“— oczywiście ze starszą kuzynką; jedzie do teatru w zimie, latem na „Wały“... Płaci już matce za wyżywienie, oszczędza. Kto ją nauczył oszczędności? Posłuszna i szanuje matkę, choć i tego ją nie uczono. Umie już o wiele więcej, jak umiała jej nauczycielka. Nocami czytuje, ba, pochłania książki i sięga nietylko za powieścią. Zajmują ją odczyty w sali ratuszowej. Posłyszawszy tam o „Historyi literatury“ wróciła do domu z postanowieniem niezłomnem, że przeczytać musi taką książkę i czytała ją; posłyszawszy wykład o „gospodarstwie społecznem“ zniewoliła pana Karola, który niby ma się ku niej, że przyniósł jej dzieło Supińskiego i musiał nawet czytać wespół co niedziela i w każde święto. Wszystko to zdobywa się wielkim trudem, gdyż świat który rozprawia o wyzwoleniu kobiety, o reformie wychowania, nie zna tej sfery, a ludzie ci znowuż nie łatwo mogą trafić do mecenasek i mecenasów, pragnących z trybuny i słowem tylko podnieść społeczeństwo. Nie śniło się nawet dobroczyńcom ludzkości, ile to potu krwawego przelała skromna heroina tej klasy, zanim udało się jej zapracować na wstęp do sali, w której odbywał się odczyt.

Jakże to pogodzić z powszechnym mniemaniem, z przekonaniem nawet, że „potrzeba oświaty“, że szerzyć oświatę, to pierwszy obowiązek na teraz.

Gdy mowa o tem, to mówiący mają na myśli lud, do niego tam po wsiach jednak, nikt się nie zbliża, jak tu nikt do sfer zapomnianych. Przekonanie wisi sobie w powietrzu, niekiedy wybuchnie jak wulkan sztuczną deklamacyją, nigdy w mieście pobudzi do odczytu i wisi sobie dalej w powietrzu. Kto skorzysta z tego odczytu szczęśliwy, ale ktoby potrzebował zachęty, spać będzie i nadal snem niewiadomości, gdyż nie ma tych, co by zstąpić chcieli na padoł bezmyślności. Ale bo też padoł ten wygląda tak na pozór ucywilizowany: ubiera się modnie, wysławia, gdy mu potrzeba dość poprawnie, zachowuje na ulicy przyzwoicie a dom tylko, życie w rodzinie kryje i piastuje nędzę moralną i umysłową.

Ale wejdźmy już z ulicy na pierwsze piętro, nie do salonu jeszcze, broń Boże! ale bądź co bądź na—posadzkę. Popatrzemy jak żyje, płacze, bawi się

Rodzina na pazurkach.

Hm! dziwna rodzina. Zapewne, ale taki tytuł należy się jej, bo się wspina co raz wyżej, pozorami chce gwałtem udawać salon.

Osobny pokój do przyjęcia gości jest, jest i posadzka woskowana, jest i fortepijan niemiłosiernie rozstrojony i co tydzień dostrajany, a mimo to zawsze dychawiczny.

Dom to urzędnika, ot przypuśćmy X klasy dyjet—tak bowiem są poszeregowani. Rodzina składa się z matki, biedaczki, wykształcenie jej bowiem uzupełniły dwie jej własne najstarsze córeczki; potem jeszcze z ojca, stękającego na wydatki, ale mimo to wydającego bez rachunku i z pięciu panien a dwóch synów. Siedm gąb jak obszył do wyżywienia, prócz pani domu i pana, prócz sługi i nosiwody.

Panna Michalina najstarsza, ma lat trzydzieści i jest właścicielką pieska, który nazywa się Dzidzi; staranie około tego „przywiązanego stworzenia“ zajmuje jej dzień cały. Panna Olimpija liczy 28 wiosen i jest także właścicielką pudelka, białego jak baranek i „niewinnego“ jak baranek. „Przyzwoite bo też to stwo-

rzenie—jak mamę z duszy kocham—przysięga panna Olimpija—że wzorowe!.. moralne stworzenie". Na czesaniu jedwabnych jego kudłów schodzi pannie Olimpii dzień bardzo miło.—Trzecia panna Teresa, o rok tylko młodsza od właścicielki białorunego pudelka, nie przyznaje się do więcej, jak do lat życia 20-u Cały dzień męczy fortepijan i każe zachwycać się siostrom nad grą mistrzowską, a siostry czynią to, szczególniej gdy popis odbywa się przy gościach. Dwie najmłodsze 25 letnia Anna i 20 letnia Krystyna, muszą biedaczki uchodzić za panny niedorosłe jeszcze, zapodlotki, i obowiązek ten spełniają z rezygnacyją, bo tak zawyrokował trybunał rodzinny. Najprzód bowiem idzie o to, ażeby Teresię raz wydać za mąż, a ma właśnie konkurenta niby.

Otóż wszystkie te panny, które miałem honor zaprezentować, wychowane były—zgadnijże Szanowny czytelniku na co? Powiesz może: na obywatelki, na przyszłe żony i matki wzorowe! A pfe! gdy która z nich usłyszy wyraz żona lub matka—rumieni się, płonie, a ten rumieniec, ta cecha niewinności ma być więcierzem na niezepsute serca młodzieńcze.

Wychowano je „na panny na wydaniu, na narzeczone", ale tylko dla ludzi ze stanowiskiem. Mówić w ich obecności mogą konkurenci o różach, bławatkach i ślubnym wieńcu i kobiercu, o pierścionku zaręczynowym, ale broń Boże o roli ich i zadaniu, gdy się zstępuje z kobierca ślubnego. Mowa taka o przyszłości, o dzieciach gdyby je dał Bóg — byłaby kamieniem obrazy, zgorszenia; byłaby ziarnem zepsucia, rzuconem w młodociane serca, niewinne jak konwalije, miękkie jak puch łabędzi.

Panny Michalina i Olimpija, mają od pewnego czasu wzrok krótki, choć dawniej miały doskonały. Dla czegóż to? Ach! niedomyślacie się! przecież to *po pańsku* nosić na jedwabnym bodaj sznureczku binokle. Na *Wałach* albo w ogrodzie miejskim włożyć na nos tę — pospolicie nazywaną „lorynetkę" i bez niej nie poznawać mniej miłe sobie osoby. A do tych należą dawne koleżanki, przyjaciółki nawet, którym los nie dał modnej sukienki, pięknego kapelusza lub wreszcie „czegoś pańskiego w obejściu.

Ale za to kto ma to „coś pańskiego" w sobie, do tego panny lgną jak przylepeczki, ubiegają się o jego przyjaźń, zapraszają w dom.

— Ej, dajcie spokój —rzecze czasem mama—kto wie co to za jeden...

— Ale to syn obwatela—woła panna Olimpija— z pewnością, ojciec jego ma wieś. Widziała mama jak się *wypatrzył* na Teresię kiedy go pan Aleksander rekomendował? Przyprowadzi go jutro.

— Trzeba go prosić na herbatę — konkluduje panna Michalina.

— O trzeba, trzeba koniecznie! — wtoruje chór panien na wydaniu.

Za powrotem do domu panna Michalina układa plan jutrzejszej kampanii. Straszny będzie ogień tyraljierski.

— O której—pyta sióstr ma przyjść pan Liliwa z panem Aleksandrem?—

Otrzymawszy odpowiedź, że o osiódmej wieczorem, taki dalej wydaje rozkaz dzienny:

— O trzy kwandranse na siódmą siądziesz Tereniu do fortepijanu i zaczniesz grać jakąś dłuższą waryjacyją, żeby zastał cię w połowie sztuki; Andziu, ty zajmiesz miejsce przy stole, ale nie siadaj na kanapie i weź jaki romans francuski, mamy podobno *Wiecznego żyda po fracusku*, ten gość i syn obywatelski, musi umieć po fracusku i niech ma przecie jakieś wyobrażenie o nas lepsze. Krzysia niech sobie siądzie skromnie, pod oknem i rysuje, ty Olimpko rozmawiać będziesz z p. Aleksandrem, a ja zwrócę uwagę pana Liliwy na Teresie przy fortepijanie.

Nazajutrz cały ranek schodzi na snuciu planów przyszłości. Podczas gdy ojciec rodziny pracuje w pocie czoła za domem, gdy matka poci się w kuchni nad zgotowaniem obiadu, panny wiodą spór o takie zagadnienia jak: co jest po pańsku a co nie, który ze znajomych panów ma widoki zostania *konsylijarzem* (radcą) w jakim urzędzie i t. p.

Jeżeli przypadkiem naleganiem ojca, prośbami matki, zniewolone zostały do przyjęcia jakiej pracy od kogo za zapłatę, to irytacyi końca nie ma. Już to najprzód siedzą przy robocie jak—na szpilkach, strwożone, nie swoje, bo nużby kto zastał przy tem zajęciu! zgroza! grób pańskości i dobrego tonu! Niechże da się słyszeć szmer czyich kroków podedrzwiami, to w *salonie* (!) powstaje taki rwetes, takie zamieszanie, taki popłoch formalny, jakby przezacne kandydatki na przyszłe konsylijarzowe, obywatelki i prefesorowe czyniły coś zdrożnego, krzywdzącego je. Twarze ich pałają rumieńcami, oczy rzucają błyski piorunowe gniewu tajonego—na —rodziców. Trzeszczą szuflady stolików i komody, gdzie się ukrywa szycie lub haft zaczęty. Panna Michalina przywołuje piskliwym głosem swego *Dzidzi*, chwyta go, bierze pod pachę i zajmuje czemprędzej miejsce w fotelu.

Panna Olimpija czyni toż samo z barankiem białorunnym i zasiada, drugi fotel.

Panna Teresa biegnie do fortepijanu i przewraca nuty.

Anna szuka książki, Krzysia uchodzi do drugiego pokoju, żeby na złość starszym siostrom przystroić głowę kwiatkiem i dopiero pokazać się gościowi.

Ależ to zawód i gniew spotegowany, kiedy zamiast gościa wchodzi do *salonu* kupcowa. Tak panny nazywają izraelitkę, trudniącą się stręczeniem towarów bławatnych, branych na kredyt. Dostarcza ona materyi na sukienki, płótna i t. p.

— Po co kupcowa przyszła?— pyta z gniewem najstarsza panienka.

— Jakto po co przyszła? co to po co? niby panna nie wie, *co* ja przyszła po ratę.

To *panna*, wypieka ponowny rumieniec na policzkach pierworodnej córki urzędnika.

— Czy to taka wielka rzecz? wstydziłabyś się kupcowa.

— Czego ja się mam wstydzić, panna niech się wstydzi, że taka *fajn* panna, a ma taką gębę. Mnie się należy...

Panna się rzuca niecierpliwie w fotelu. Dzidzi zaczyna ujadać przeraźliwie.

— Niech sobie kupcowa idzie! Cóż to znowu, patrzcie jaka prostaczka.

Dosadny a głośno wypowiedziany ten argument pobudza ulubionego pieska do czynu: zrywa się i zaczyna szarpać za suknie natrętnego wierzyciela.

— Co to jest? co to jest—nie dość że państwo nie płaci, jeszcze szkodę pies zrobi.

Na tę scenę wchodzi matka z kuchni i ona dopiero uśmierza zapał młodych dam i uspakaja nieco żydówkę.

— Dobrze, ja przyjdę za tydzień, ale niech już panna Michalina nie będzie taka... aj, aj, strach. Wolałyby panny zarobić, jak takie wielkie państwo udawać, a mnie się jeszcze należy za dziewiędziesiąt łokci *każymir*, to nie żart.

Z tem wyszła, doradzając jeszcze w kuchni że wolałyby panny zarobić, kiedy panu ciężko. Nu, to nic dziwnego, pięć pannów... — to na same trzewiki ze 20 guldenów.

Matka przyjęła to uśmiechem łagodnym. Zarobić, hm, zapewne... Cóż, kiedy Michalinka twierdzi, że to nie po pańsku. I—tak to łatwo przywyknąć do upokorzeń wszelakich, łatwiej jak do pracy. Zresztą świat nie wie o tem, nie widzi. Swiat widzi tylko komedyją dość niezręcznie odgrywaną, widzi krótki wzrok panien, ich ułożenie, słyszy o talentach... byłby więc bardzo niewdzięczny, gdyby nie zesłał tym kandydatkom na panie, kandydatów na intratne posady, na znakomitości powiatowe przynajmniej.

Dobrze to jeszcze, dopóki jak mówią „świecą się oczy ojca" a jeżeli starczyło mu sił i życia, by wysłużyć lat pełnych 40 i otrzymać pensyją całą jak w służbie czynnej — ale gdy to życie pełne pozorów i blichtrów zostaje przerwane śmiercią—cóż się dzieje z rodziną? Niedostatek uczciwy, to nic; kto go umie dźwigać z godnością a rąk nie opuszcza, może zdobyć spokój przynajmniej, zaspokajając pierwsze potrzeby życia. Gorszym od niedostatku, gorszym od nędzy, gorszym od jawnego zepsucia złego, którego ustrzedz się można, jest wstęp nowej komedyi,— droga półśrodków, noszących pozory zacności i przyzwoitości a w gruncie niemoralnych.

Ale dość może tych ponurych obrazów, rzućmy zasłonę na owe środki, któremi stara się rodzina podupadła, uzyskać warunki życia, zdobyć potrzeby onegoż.

Do niedawna jeszcze i taki dom i takie panny nie były niczem nadzwyczajnem i „robiły los" czasem i świetny, i znajdowały mężów, którzy zajmowali się ukończeniem ich wychowania; dziś to jeśli nie możliwe, to przynajmniej rzadkie zdarzenie. Wyziębiono serca, a nie dano rozumu. Rachuba bez pewnych danych nie prowadzi do niczego, na komedyi poznają się prędko. Otóż ograniczoność i chłód przeraża. Kiedy ta sama wada nazywana naiwnością, przy sercu niezepsutem dawała pewną rękojmię, to mogła nawet zachęcać! Nie było chętki wyniesienia się za pomocą rzeczy która jest fatałaszkiem a która kosztuje. To też łatwiej było o konkurenta, który szukał w małżeństwie cichego szczęścia, miłości, bo wiedział że i druga strona tego tylko szuka, a dziś druga ta strona w klasie o której mowa, szuka tylko świetnego losu, przedłużenia dni pędzonych w próżniactwie, uwolnienia się słowem od pracy.

d. c. n.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Praca kobiet w XIX wieku przez Pawła Leroy Beaulieu, przełożyła z francuzkiego A. S. Warszawa 1875 r.

O pracy kobiet wiele się dziś mówi i pisze bo taka dzisiaj jest...moda. Jakto...moda!!? zawoła zapewne z oburzeniem niejedna z czytelniczek. Praca kobiet!... toż to kwestyja poruszająca najpoważniejsze umysły, to przecież racyjonalny punkt oparcia i pewna nić przewodnia dla całej sprawy emancypacyi niewieściej. Trzeba więc być profanem aby rzecz tak wielkiej i ogólnej doniosłości podciągać pod kategoryją...mody! Z wolna, zwolna nadobna emancypantko; postaramy się, gorszące cię wyrażenie bliżej nieco objaśni. Już niejednokrotnie i nie w jednem miejscu mieliśmy sposobność wyrazić zdanie, że tak zwana praca kobieca, na punkcie zwłaszcza ekonomicznym, nie może ulegać spółecznemu identyfikowaniu, że przeciwnie, musi ona jak najściślej być zestawianą z warunkami czysto miejscowemi, musi wreszcie, zarówno ze stopniem cywilizacyjnego rozwoju jak i bieżącemi potrzebami danego społeczeństwa najdrobiazgowiej się liczyć. Praca Amerykanek, Francuzek czy Angielek, może być w wielu razach najzupełniej, (ze względów naturalnie praktycznych) obojętną dla Polek i przeciwnie: działalność tych ostatnich, wybornie przyjmująca się u nas, może nie znaleść zastosowania gdzieindziej.

Z tego to więc wychodząc punktu, możnaby przyjąć za stałą do pewnego stopnia zasadę, że z całego szeregu różnych i przez rozmaite pióra dostarczonych piśmiennictwu naszemu w kwestyi kobiecej książek, te tylko mogą mieć wartość rzeczywistą, które opierając się na gruntownej znajomości potrzeb i stosunków swojskich, wskazują zarazem, co względnie do stosunków tych, w zakresie pracy niewieściej zrobiono, a co zrobiéby należało. Książka p. Leroy Beaulieu pisana przez Francuza i dla francuzów, traktująca z resztą kwestyją pracy kobiet w przemyśle prawie tylko francuzkim, może mieć dla tamtejszego to jest francuzkiego społeczeństwa wartość rzeczywistą, gdy natomiast dla społeczeństwa naszego, wartość praktyczna dzieła, jest co najwyżej względną i bardzo... względną. Samo więc wydanie książki, jest raczej wynikiem dobrej perspektywy zbytu dla tego rodzaju publikacyi, nie zaś skutkiem dobrze zrozumianej potrzeby, czyli, że tym sposobem ów gorszący piękną czytelniczkę wyraz: „moda” odegrał i w tym razie bodaj czy nie najważniejszą rolę.

Z tem wszystkiem jednak dzieło uwieńczone przecież przez akademiję francuzką nauk moralnych i politycznych, nie może być pozbawionem wartości ogólnej, nie może być bez wielu stron dodatnich, i po bliższem poznaniu treści łatwo przyjść do przekonania że tak jest w istocie.

Pracę swoję autor, na trzy rozdziela części, z których pierwsza obejmuje rzecz o pracy i nauce kobiet pracujących na drodze przemysłu. Określiwszy na wstępie stan pracy kobiecej przed XIX stuleciem, autor przechodzi do konkluzyjnego wniosku, że nigdy i w żadnym kraju zajęcia domowe nie pochłaniały całego czasu kobiety, że to wymarzone społeczeństwo, gdzieby sam tylko mężczyzna mógł zaspokajać potrzeby całej rodziny a kobieta oddawać się tylko staraniom około domu i wychowywaniu dzieci nie istniało nigdzie w przeszłości, i że „skoro tylko dla kobiet odkrywała się jakakolwiek gałęź płatnej roboty rzucały się na nią z chciwością a w braku pracy rzemieślniczej, oddawały się trudom cięższym grubszym i mniej korzystnym.

Umyślnie podnosimy to oparte zresztą na faktach dowodzenie, bo dla tych zwłaszcza, którzy twierdzą apodaktycznie, że rozszerzenie pola niewieściego zarobku może wpłynąć na szkodę „domowego ogniska“ odwołują się jakoby po świadectwo do wiekami uświęconego zwyczaju i tradycyi, dla tych, powtarzamy, konserwatystów, dowodzenie podobne zasługuje na ściślejszą nieco rozwagę.

Historyja pracy kobiet w przemyśle wielkim angielskim i francuzkim skreślone jest treściwie, i interesująco; postęp mechaniki w rzemiosłach kobiecych, dobrze jest również przedstawiony; ale najmniej może, w części I-ej zajmującemi są rozdziały o pracy kobiet zatrudnianych przez wielki przemysł. Wprawdzie u nas fabryki większe nie wielkie jeszcze, jak obecnie przedstawiają pole pracy dla kobiet, i sama zresztą różnica stanu przemysłu naszego w porównaniu z francuzkim, nie pozwala na wyciągnięcie z ciekawych uwag i obliczeń autora, odpowiednich i praktycznych *dla nas* wskazówek.

Niemniej jednakże i u nas po niektórych fabrykach w coraz większej liczbie zatrudnionemi są kobiety, a porównawcze zastawienie samej chociażby normy płacy, nie może być obojętną rzeczą. Otóż gdy np. w przędzalniach francuzkich średni zarobek robotnicy wynosi przeszło 2 franki (60 kop.) dziennie; u nas, znamy fabryki sukna w których robotnica pracująca wyraźnie szesnaście godzin, zarabia 17 ½ kop. Słusznie bardzo autor wynagrodzenie robotnicy francuzkiej w porównaniu zwłaszcza z płacą pobieraną przez mężczyznę nazywa nizkiem; lecz jak nazwać wynagrodzenie powyższe robotnicy naszej?!

Zdrowem bardzo podług nas, jest dowodzenie p. Leroy Baulieu odnośnie do różnicy jaka zachodzi między płacą robotnic a robotników. Cyframi autor wykazuje, że we wszystkich niemal przemysłowych zakładach francuzkich praca dzienna pierwszych, względnie do takiejże płacy ostatnich, jest blisko o połowę niższą. Skąd więc ta rażąca różnica? Czy ma ona naturalną przyczynę, lub też jest wynikiem przypadkowych tylko i przechodnich okoliczności? Czy kobieta o krzywdę swoją ma się upomnieć u społeczeństwa, u natury, czy u siebie samej? Są to, jak widzimy pytania, do żywego interesujące i... cieszcie się czytelniczki bo autor, po dość gruntownym wywodzie daje korzystną dla waszych siostr odpowiedź.

Dzięki odwiecznym zwyczajom, wychowanie kobiety stało o wiele niżej, skala ich umysłowości nie wychodziła po za granicę rutynicznej ciasnoty i oto przyczyna pierwsza dla której praca mężczyzn jak każdy lepszy towar była i jest więcej poszukiwaną. Mężczyźni mieli zawsze pole do pracy szeroko otwarte, kobiety przeciwnie zawsze zbyt ciasne i ograniczone. Stąd tłumy płci słabej cisnęły się do jednych fachów i na jednę drogę zarobku, a stąd naturalnie, zaofiarowanie (podaż) pracy wielkie podano, gdy żądanie (poszukiwanie) jej małe, stąd praca zarobkowa niższa i nie wystarczająca. Dalej. Przemysł niezbyt jeszcze wysoko rozwinięty i nie wiele wspierany, nauka więcej potrzebowała siły aniżeli zręczności, a stąd znów mężczyzni jako więcej rozwinięci fizycznie rozleglejszą też nierównie mają przed sobą szansę. Są to więc wszystko, jak widzimy przyczyny logiczne, lecz też najzwyczajniejsza również logika wystarcza do zrozumienia że przyczyny te, te raczej nieprzyjazne dla pracy kobiet okoliczności, na wieki...trwać nie mogą. Wykształcenie umysłowe kobiety, nawet w mniej wyrobionych społeczeństwach wchodzi już na drogę równości, cywilizacyja a z nią i doskonalenie przemysłu postępuje szybko, lecz najpotężniejszym w kwestyi zrównania płacy zarobkowej czynnikiem zdaje się być *płaca od sztuki*. System ten nie tylko za granicą ale i u nas coraz więcej upowszechnionym zostaje *) a wobec tej zmiany ustępuje wszelka nierówność położenia płci obu: tu o różnicy potrzeb ani stanowiska nie może być mowy jest to, jak trafnie określa autor „prawo ślepej sprawiedliwości, nieubłagane i nie dające się przekupić.”

Kończąc o przyczynach nierówności płacy fabrycznej autor broni zarazem przemysł mechaniczny, stawia wyżej pracę maszynową od ręcznej i przechodzi do nauki kobiet w przemyśle użytych. Nauka ta jest zbyt słabo jeszcze rozwinięta nie zapewnia ona kobiecie tych korzyści jakich każdy umysłowy krok naprzód dostarczyć jest w stanie. Nie przemilcza jednak autor o przedsiębranych już obecnie w tym kierunku ulepszeniach i wyraża nadzieję że będzie i powinno być... lepiej. Część druga obejmuje rozbiór zasad w imię których rząd może się wdawać w ugody zawierane między pełnoletniemi i w ogóle część ta traktuje o wdaniu się prawa dla ograniczenia i wzbronienia pracy kobiet w przemyśle. Rzecz to obrobiona wybornie ale, jak dla nas, gdzie prawo zabraniające kobietom pracować w wielkim przemyśle nie istnieje, interesującą być nie może. Za to jeden z rozdziałów tejże to jest drugiej części traktujący o fizycznym i moralnym stanie kobiet pracujących w przemyśle na wielką i małą skalę, tudzież o środkach prawnych zamierzonych w celu poprawienia i zabezpieczenia zdrowia i moralności robotnic; rozdział ten powtarzamy, zasługuje ze wszech miar na bliższą czytelnika uwagę.

Niemniej ciekawą jest cała część dzieła trzecia ale... niestety ciekawą w samym tylko tytule, zapowiadającym podanie środków poprawienia losu kobiety i odbudowania rodziny w klasie wyrobniczej. Przyczyną określonej poprzednio już przez autora w wielu razach

*) W fabryce mebli giętych hr. Poletyłły w Warszawie, obsługiwanej prawie wyłącznie przez kobiety istnieje tylko płaca od sztuki. (przyp: recen:)

smutnej doli kobiety jest brak odpowiedniego wykształcenia; zapełnić więc ten brak, to znaczy polepszyć los płci słabej, i oto kwintesencyja owych środków zaradczych—ale przyznajmy kwintesencyja nie nowa. Zacofani czy postępowi, przeciwnicy czy zwolennicy emancypacyi; wszyscy niemal słowem, mówią dziś niemało o potrzebie racyjonalniejszego wykształcenia kobiety i autor też nic w tym przedmiocie nie powiedział czegoby nawet najmniej interesujący się sprawą niewieścią czytelnik po wiele już razy nie słyszał. Z ciekawością odczytujemy obszerny ustęp o nowych zawodach któreby dla kobiet otwartemi być mogły i jakkolwiek mamy tu główne uwzględnienie stosunków francuzkich i angielskich, to jednak szczegóły dotyczące mianowicie zawiązywanych, w celu rozszerzania pola pracy niewieściej w Anglii zwłaczcza towarzystw, wiele dobrych myśli naszemu czytelnikowi (a nadewszystko zamożnym czytelnikom) nasunąć by mogły.

Gorąco przemawia autor za szerszym niż dotychczas udziałem kobiet w zawodzie handlowym stawiając za przykład Niemcy, gdzie też środki kupieckiego wykształcenia szeroko już upowszechnione zostały i gdzie ruch w tym kierunku silnie się już przejawił. Od lat już kilkunastu funkcyjonują tam dla kobiet przeznaczone szkoły handlowe i dziś w każdem ze znaczniejszych miast niemieckich, istnieje jakiś zakład dla przygotowywania młodych dziewcząt do zawodu kupieckiego. Ustęp też ten mimowoli nie jako nasuwa czytelnikowi pytanie czy i u nas o podobnem przysposabianiu kobiet do kupiectwa nie należałoby pomyśleć? Zapewne, należałoby i więcej jeszcze nawet aniżeli gdzieindziej; ale u nas na założenie od lat kilku projektowanej wyższej szkoły handlowej dla mężczyzn trudno jakoś się zdobyć, a cóż dopiero gdy mowa o kobietach!? O!...o!... jeszcze czego! Nasze (t. j. francuskie) kompanije dróg żelaznych mówi autor, dały już przykład całej Europie przyjmując kobiety do sprzedawania biletów. Wybornie są uzdolnione do tego obowiązku szybkością w palcach i myśli, co tu jest niezbędnem. Na pocztach oddawna zajmują też kobiety liczne i dobre u nas (mowa o Francyi) miejsca. Po tak pomyślnych próbach należałoby te zwyczaje bardziej rozpowszechnić. Kobiety byłyby z pewnością równie dobremi rachmistrzami jak dziś są biegłe w wydawaniu biletów. Wielkie banki mogłyby je przyjmować jak przyjmować w niektórych miejscach biura wymiany. Umyślnie pozwoliliśmy sobie przytoczyć tych parę uwag, bo treść ich do potrzeb naszych, i to w chwili obecnej żywcem daje się odnieść. Za to znów obszerny bardzo rozdział traktujący o współzawodnictwie pracy więziennej obozów roboczych i kobiet żyjących w świecie z wyrobnicami, jak również o środkach złagodzenia i powstrzymania złych skutków tegoż współzawodnictwa, jako nie mający nic z naszemi stosunkami wspólnego, możemy tu już pominąć. Mówiąc o maszynach do szycia autor uspokaja obawy co do złych skutków dla pracownic ręcznych i radzi zastosowanie do tychże maszyn motorów parowych. Po szerokiem dosyć wywodzie o pracowniach przemysłowych zamkniętych (których u nas jak wiadomo nie ma) autor przechodzi do środków ulepszeń zakładów fabrycznych, pod względem ekonomii przemysłowej. Trafne tu bardzo i interesujące spotykamy uwagi ale też znów rzecz zakończająca pracę p. Leroy Beaulieu o środkach właściwych do dobrego prowadzenia gospodarstwa w klasie wyrobniczej i sposobach mogących powiększyć jej dobrobyt przy małych materyjalnych zasobach, jest przeprowadzoną dość ogólnikowo i nic nie odkrywa nowego.

Po takiem zapoznaniu się z treścią zesumując sąd o książce pana Leroy Beaulieu, powtórzyć musimy to cośmy w części powiedzieli już z góry że praca ta oparta głównie na gruntownej znajomości potrzeb i stosunków przemysłu francuzkiego może dla tamtejszego również społeczeństwa, posłużyć za nader cenną w sferze pracy kobiet, wskazówkę podczas gdy dla nas wartość ta dzieła nie może mieć żadnej prawie doniosłości praktycznej. Z drugiej jednakże strony i to przyznać winniśmy że pracy tak sumiennej i tak trzeźwo napisanej tak mało obliczonej na wywołanie efektu a tak silnie opartej na faktach i życiowej prawdzie, oryginalne nasze w kwestyi kobiecej, piśmiennictwo, nie doczekało się jeszcze.

Przekład dokonany starannie, czystym poprawnym językiem nic nie pozostawia do życzenia i za co też tłumaczce p. A. S. słuszna należy się podzięka.

Jan Jeleński.

1. *Systematyczny sposób początkowego wykładu nauki Religii i moralności dla głuchoniemych, opisany przez nauczycieli Religii Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych. Kurs pierwszoletni.* Warszawa 1874, 8-ka więk. 224 str.

2. *Pamiętnik Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych z roku szkolnego 1873/4. Rok piąty.* Warszawa, w drukarni Instytutu Głuch. i Ociemn. 1874 str. 317 i XLIII.

Pamiętnik Warsz. Instyt. Głuch. i Ociemn. od lat pięciu wydawany, mieści w sobie wiele treści ogólniejszego interesu, traktuje materyje metodyczne, których zgłębianie nie tylko jest zadaniem każdego nauczyciela, ale i rodziców, wszystkich prawie zresztą, gdyż wszyscy w taki lub w inny sposób do nauczania rękę przykładają.

Większą połowę „Pamiętnika" za rok ostatni zajmuje metoda wykładu Religii, która także w osobnej odbitce wydaną została pod tytułem powyżej podanym, pokaźną, piękną i każdemu potrzebną książkę stanowiąc.

Mamy wiele katechizmów, ale trudnoby nam było zdecydować się w wyborze, gdyby nas wręcz zapytano, który katechizm jest najracyjonalniejszy, który stoi na stanowisku współczesnej metodyki. Wobec takiego stanu rzeczy skwapliwie chwytamy do ręki *metodę wykładu religii*, tego przedmiotu tak ważnego, a dla którego metodyka najmniej ze swojej strony zrobiła.

Na metodę tę składało się lat 50 praktyki. Nauczyciele przejmowali sposoby od poprzedników, dodając do nich nowe. Tak się rozwijało wielkie dzieło, do którego najwięcej ręki przyłożył Ks. Józef Hollak b. Prefekt i Nauczyciel Religii w Instytucie. Wydał on także książkę wysoko cenioną, będącą treściwem i systematycznem ujęciem rzeczy dotyczących zasad wiary, historyi świętej, obrzędów kościoła i nauk z Ewangelii. Książka ta nosi tytuł: *Nauka Religii, wykładana w Warszawskim Instytucie Głuchoniemych* (Warszawa 1855. Części cztery.) Jestto wyborna książka dla uczniów. Nauczyciel zaś może tu tylko granice znaleść ramy, w których wykład jego ma się zawierać; — program wykładu. Całkiem zaś co innego jest instrukcyja wykładu, środki metodyczne, drogi prowadzące do celu. Są to rzeczy bardzo potrzebne w przedmiotach początkowego nauczania zwłaszcza. Literatura nasza szczupluchną liczbę prac tego rodzaju posiada, prac, które jeśli kiedy to teraz właśnie, przy wyrabiającej się u nas racyjonalnej, poglądowej metodzie elementarnego nauczania z radością przez każdego powitane będą.

„*Sposób wykładu Religii*" przyczynić się powinien do zmiany w nauczaniu początków Religii i moralności, do reformy w wykładzie katechizmu. Taką bowiem doniosłość dziełu temu przypisujemy. *d. c n.*

ŚLADY ŻYCIA.

VII.

Tyle życia, ile... w czynie.

Włocławek w Styczniu 1875 r.

Jakkolwiek miasto nasze zasypia spokojnie snem błogosławionych a tem samym trudno dopatrzeć w nim śladów życia, postanowiłem jednakże od czasu do czasu przedstawić życie tutejszych mieszkańców, notować wszystkie choćby najdrobniejsze fakta społecznej doniosłości, by tem ciągłem stawianiem przed oczy Włocławian zwierciadła w którymby przejrzeć się mogli, pobudzić ich z letargiczgo snu, jaki ich zbyt długo trzyma w swoich objęciach. Czy mi się to uda nie wiem, ale pamiętny przysłowia że „guta cava leapidem non vi, sed semper cadendo" nie myślę zaniechać obowiązku do jakiego poczuwać się powinien każdy z nas.

Sam nie wiem od czego zacząć mą korespondencyją, a to trudność nie lada, bo ręczę Ci słowem czytelniku, że będąc na mojem miejscu, podobnie jak ja usiadłbyś z głową opartą na dłoni i myślał co tu napisać o tych, którzy postawiwszy na ołtarzu własne *ja*, zapominają o tem iż są ogniwami wielkiego łańcucha społecznego, iż względem niego są święte obowiązki o których zapominać nie wolno pod utratą miana dobrego obywatela kraju. Bo przyznaj sam czytelniku, czyś słyszał aby włocławianie pomyśleli kiedy o założeniu jakiego wspólnego ogniska, w którem mogliby posilić ducha zdrowszą i szlachetniejszą strawą nad plotki będące tu na codziennym planie? Nie. Tu każda rodzina to oddzielna koteryja, starająca się wszystkiem wywyższyć nad drugich; jeżeli zatem zbiorą się tu dla ogólnej zabawy to pewno skończy się na tem iż nie zabawiwszy się odejdą wszyscy do domu, jak

to miało miejsce niedawno. — Czy śniło się kiedykolwiek któremu z tutejszych pieniężnych potentatów, że dorobiwszy się majątku powinien choć drobną jego cząstkę złożyć na ołtarzu miłości bliźniego.

Czy pp. urzędnicy pomyśleli kiedy o tem, iż jedność to potęga, i poznawszy całą doniosłość tych kilku słów, zechcieli założyć kasę zaliczkowo-pożyczkową, by raz uwolnić się ze szponów lichwiarzy? Nie. Oni wolą narazić i byt i przyszłość swoich rodzin, by teraz spoczywać spokojnie, nie myśląc że jutro może ukazać im straszne oblicze głodu i nędzy.— Czy młodzież nasza pomyślała kiedy, że ma względem społeczeństwa, na łonie którego wzrosła, święte obowiązki, od spełnienia których nie wolno jej się uchylić, że powinna dążyć do czegoś wznioślejszego nad nieustanne rozbijanie bilardów i robienie burd i awantur?

Biada naszemu społeczeństwu, gdyby wszystka młodzież podobną była włocławskiej, lecz na szczęście że nie wiele podobnej jej znajdzie się w naszym kraju.

Czy ci których natura obdarzyła zdolnościami a społeczeństwo dało możność do zdobycia wiedzy; pomyśleli iż mają święty obowiązek, udzielania ciemniejszej braci światła nauki? Nie. Oni oddzielili się od reszty społeczeństwa chińskim murem, obawiając się by przy zbliżeniu nie stracili na swej powadze i nie byli zrzuceni z piedestału, na którym ich postawiła własna ich zarozumiałość.

Czy Paniom naszym przeszło kiedy przez myśl że i one mogą być użytecznemi członkami społeczeństwa, by tylko chciały zaniechać dotychczasowych nieprodukcyjnych a nawet szkodliwych dla narodowego bogactwa zajęć, które ograniczają się na czytaniu płochych romansów, parogodzinnem ubieraniu się, zajmowaniu się plotkami, a czasami co i tak wiele na zatańczeniu na korzyść szpitala lub niezamożnej gimnazyjalnej młodzieży? Kobiety nasze, z małym bardzo wyjątkiem, zapominają o swem posłannictwie, a wszystkie swe siły i zdolności starają użyć na to, by bądź co bądź złapać męża, boć niepodobieństwo zostać starą panną i dla tego probują wszystkich środków by się podobać, i co za tem idzie posiąść męża, choćby na drugi dzień po ślubie miały płakać krwawemi łzami, iż tak nieopatrznie i bez zastanowienia uczyniły najważniejszy krok w życiu każdego człowieka, jakim jest małżeństwo. Zapominają one, iż teraz od żon żądamy czegoś więcej nad ładną twarzyczkę i dobre tańczenie, chcemy by dusze ich zdobne były cnotami a umysł zbrojny nauką i znajomością życia, boć to mają być nasze przyszłe towarzyszki na życiowej drodze, pierwsze nauczycielki i kierowniczki naszych dzieci, zacne obywatelki kraju, a nie puste i ładne co prawda, ale lalki tylko, które jedynie umieją się śmiać i bawić.

Słowem nikt z nas, a przynajmniej bardzo nie wielu, nie widzi, czy niechce zobaczyć, że kraj prawie cały śmiało kroczy za sztandarem postępu do ogólnego dobrobytu, tak materyjalnego, jak i moralnego; my tylko jedni nie postępując naprzód cofamy się, niezważając na to, że kiedyś może niedługo, własne społeczeństwo zaprze się nas i nie przyzna za swe dzieci zrodzone w XIX wieku, ale za mary dawno ubiegłych czasów—głupoty i barbarzyństwa.

Suum cuique. Znajdują się i pomiędzy nami choć w niewielkiej liczbie, szczególniej pomiędzy kobietami, ludzie cichej pracy i nierozgłośnej zasługi. Cześć im i uznanie. Może być iż posądzi mnie kto o pesymizm i uprzedzenie, a jednakowoż jest to prawdziwy obraz umysłowego i społecznego stanu tutejszych mieszkańców.

Nie dziw się czytelniku że pisząc niniejszą korespondencyją, starałem się ujawnić główniejsze ujemne strony mieszkańców naszego grodu, ale gdy idzie o interes tak wielkiej wagi, jakim jest dobro kraju i społeczeństwa, które się kocha prawdziwie, nie można być stronnym i powodować się ubocznemi względami i dla tego zawsze choćby to mogło ściągnąć na mnie czyjeś niezadowolenie, wystąpię śmiało w obronie prawdy i wzniosłych idei jakie pragnę by i po między nami, zostały zaszczepione i wprowadzone w życie.

J. S.

Na nutę oświaty ludowej napisano się u nas nie mało — z prawdziwą więc przyjemnością przychodzi nam dziś zaznaczyć faktyczny do kwestyi tej przyczynek. Mówiąc to mamy na myśli świeżo wyszłą z druku maleńką książeczkę „dla włościan i mieszczan“ pod tytułem „*O księdzu Stanisławie Staszycu*“ przez Kazimierza Promyka. Książeczka ta kosztująca wszystkiego 2 kop. i treścią i obrobieniem najzupełniej odpowiada celowi, i powinnaby jak najszerszym cieszyć się pokupem. Chodzi tylko głównie o to aby Ci dla których p. Promyk pracę swoję przeznaczył, mieli o jej istnieniu wiadomość,—czy więc nie dobrze by było aby księża proboszczowie naprzykład, podjęli się pośrednictwa w tej rzeczy?

P. F. Breslauer znany z takich wydawnictw jak „Barbara Ubryk“ „Izabella Hiszpańska“ „Eugenija czyli Tajemnice dworu Paryzkiego“ i t. p. znowu skandaliczną wiązanką wzbogacić myśli literaturę naszę.... W szumnym prospekcie szeroko w świat puszczonym zapowiada on publikacyją „Romansów Kryminalnych“ Aby zaś na lep tytułów, które jak to mówią, same już zdolne powstawanie włosów na głowie sprowadzić, ułowić jak największą liczbę czytelników.— P. Breslauer ogłasza na początek takie osobliwości jak „Galernik“ „Nad przepaścią“ „Przepadł bez wieści“ „Na drodze występku“ „Tajemnicze morderstwo“ i t. d. i t. d. Jaką krzywdę wyrządzają szpargały podobne mniej ukształconym czytelnikom, w ręce właśnie których, jeżeli nie wyłącznie to przeważnie się dostają—o tem nie ma się co rozpisywać— Przemawiać do p. Breslauera aby w imie dobra publicznego, odstąpił od zamiaru wyzyskiwania najciemniejszych stron uboższych duchem, byłoby ciskać groch na ścianę. Tacy pp. nie zważają na takie *bagatele*—a ostrzegać o szkodliwości tych brudów za pomocą prasy—jest to najczęściej działać na ich korzyść. „Czem więcej szarpią tem lepiej, tak utrzymują ichmościowie podobni i nie bez słuszności niestety... Cóżby więc robić aby nie robić reklamy zgorszenia?.. Sądzimy że pisma nasze nie powinny przedewszystkiem na tego rodzaju wydawnictwa przyjmować wcale prospektów — a powtóre, że obowiązane są starać się zabić podobnie nie sumienne spekulacyje... najgłębszem o nich milczeniem...

Na dochód „Przytuliska“ w dniu 21 b. m. amatorowie wystąpić mają w „Wielkim Teatrze“ w 10 obrazach żywych. Obrazy te układu p. Wojciecha Gersona, stanowią jedną całość a przedstawiają rozwój wieków. Treść ich objaśnioną będzie stosownemi deklamacyjami wypowiedzianemi na scenie. — Rozprzedaży biletów do lóż podjęła się p. Robaczewska, zamieszkała przy ulicy Nowy-Świat N. 2. Biletów do miejsc numerowanych dostać można w księgarni pp. Gebetnera i Wolffa, do miejsc zaś nienumerowanych w księgarni p. Błaszkowskiego na Krakowskiem Przedmieściu.

Nieszczęście nasze!.. Obraziliśmy na siebie radomiaków a co jeszcze bardziej leży nam kamieniem na sercu, obraziliśmy na siebie i radomianki nadobne!... Jakiś zły duch tameczny, donosząc o otwartej świeżo w tem mieście przez pannę Honoratę Rewolińską, księgarni i antykwarni—podszepnął nam zarazem niegodziwiec, że Radom, jedno z większych miast gubernijalnych, liczące kilkanaście tysięcy mieszkańców, nie miało dotychczas nic podobnego, i bez drukowanej bibuły jak najlepiej się obywało... Bona fide przyjęliśmy wiadomość i smutne z tego powodu zdziwienie nasze, zaznaczyliśmy w śladach życia w N. 4 Opiekuna Domowego. Aniśmy przewidzieć mogli ile za tę nieopatrzność naszę, wycierpieć będziemy musieli!—Protestacyje jak grad się posypały. Dziś biała jakaś rączka przesyłała nam na wonnej ćwiartce wyrazy „ogólnego oburzenia i zgrozy“ nazajutrz inna znowu a zawsze nadobna rączka donosiła nam „iż lubo dotąd nigdy nie chwytała za pióro, bo nie lubi afiszować się po pismach“ przecież w obec tak widocznej złej wiary—musiała swoje veto zaznaczyć, potem dotkliwsze znowu nie na pachnących już kartkach ale na zwyczajnym sobie szaraczku, dochodziły nas gromy.

Bliższe rozpatrzenie się w sprawie, przekonało na domiar złego—że lubo z dobrą wiarą niemniej dobrego palnęliśmy bąka... Mówimy to otwarcie pewni, że tym sposobem choć w części potrafimy powetować wyrządzoną Radomowi krzywdę.

Radom otóż od dawien dawna posiadał nie jednę ale kilka zawsze księgarni — a panna Rewolińska skompletowała właśnie swoję zakupem towaru po upadłym wprawdzie, ale nigdy nie przez brak poparcia księgarzu P-u L... Od dosyć dawna istnieje też w Radomiu księgarnia p. Adolfa Zucker, a przy niej *czytelnia polska*, i wcale nieźle zaopatrzona i ciągle podobno pomnażana starannie.

Дозволено Цензурою.—W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.